



Z PKS Gorzów Wlkp.
e-bilety do Poznania i Szczecina
już od **1 zł**

UWAGA

godziny odjazdu autobusów PKS:

Gorzów Wlkp. - Poznań	- 7.00, 15.40
Poznań - Gorzów Wlkp.	- 12.15, 19.00
Gorzów Wlkp. - Szczecin	- 12.30
Szczecin - Gorzów Wlkp.	- 15.10



Bilety od **1 zł** dostępne są przy zakupie na www.pks-gorzow.pl

Codziennie nowe informacje na www.echogorzowa.pl

ECHOGORZOWA.PL

• MIESIĘCZNIK BEZPŁATNY •

• STYCZEŃ 2015 • NR 1/2015

Wszystkiego lepszego w 2015 roku!

W nowy 2015 rok wchodzimy z nowymi nadziejami i szansami, jakie niesie nasze codzienne życie.

Nadziejami i szansami na lepsze życie osobiste, rodzinne, zawodowe, ale także życie miasta. Miasta Gorzów, w którym przyszło nam żyć z urodzenia, wyboru lub przypadku. Bo Gorzów jest dla nas jednym z najważniejszych z miejsc na ziemi. Gorzów to nasze miasto i żadna władza tego nie zmieni.

Oby więc nasze życie w Gorzowie było zwyczajnie lepsze. Tym bardziej, że od kilku tygodni mamy nowe władze - prezydenta i Radę Miasta. Przede wszystkim liczymy, że zmieni się jakość naszego codziennego życia. Jakość związana z warunkami materialnymi, ale głównie z drogami i chodnikami i szeroko rozumianą estetyką i gospodarnością miasta. Niekoniecznie musi być na bogato, ale niech będzie przynajmniej czysto, schludnie i pięknie. Wystarczy zadbać o to, co już jest i co stosunkowo niewielkim nakładem sił i środków można naprawić, poprawić i zmienić. A na rzeczy wielkie i niewątpliwie potrzebne poczekamy.

JAN DELIJEWSKI



foto: Emilia Wólcik

Gazeta internetowa już na papierze

Drodzy Czytelnicy, przed Wami pierwszy numer papierowego wydania gazety echogorzowa.pl, który w internetowej sieci funkcjonuje już od 2012 roku.

Echogorzowa.pl ma setki tysięcy czytelników w mieście, regionie, kraju, a także na całym świecie. Codziennie publikujemy nowe informacje, komentarze, blogi, rozmowy, reportaże i kalendarium historyczne. Na www.echogorzowa.pl zapowiadamy wydarzenia w mieście i regionie; jest polityka, ale i sport oraz kultura, kronika policyjna i motoryzacja oraz opowieści ze szlaków turystycznych. Na naszych łamach piszą dziennikarze i znani gorzowianie jako blogerzy. To gwarantuje różnorodność zainteresowań i poglądów oraz ocen różnych spraw, zjawisk i problemów.

Papierowe echogorzowa.pl, to jedynie skromna prezentacja treści z naszej internetowej strony. Wydajemy teraz również gazetę w tradycyjnym kształcie, by wyjść naprzeciw oczekiwaniom tych, którzy z różnych powodów nie korzystają z internetu, a przy okazji zachęcić innych do systematycznego zaglądania na www.echogorzowa.pl.

REDAKCJA

w numerze:

• Barwy samotności starego mistrza

str. 12

• Mocno się trzymam i nie poddaję

str. 8

• Żużel: Bankructwo zajrzało w oczy

str. 18



KALENDARIUM
Styczeń 2015

● 1.01.

1950 r. - w Gorzowie wznowiono komunikację tramwajową.
 2002 r. - Gorzów powiększył się o prawie 900 ha terenów popoligonowych, przyłączonych z gminy Kłodawa; gmina otrzymała 3,5 mln zł rekompensaty.
 2005 r. - powstał Lubuski Ośrodek Regionalny TVP w Gorzowie.
 1905 r. - urodził się Jan Korcz, artysta-malarz, pionier Gorzowa, organizator słynnej „akademii pana Jana” dla artystów-amatorów, zm. w 1984 r.
 67. ur. obchodzi Stanisław Żytowski, adwokat i działacz społeczny, b. poseł i radny, b. przywódca podziemnych struktur „Solidarności” w Gorzowie.

● 2.01.

1960 r. - wznowiono komunikację autobusową, uruchamiając pierwszą po wojnie linię autobusową; na trasę linii 101 Marcinkowskiego-Ślaska wyjechało pięć autobusów San.
 1960 r. - powołany został Państwowy Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie, jako 117 scena państwowa w kraju; przygotowania do premiery trwały dziewięć miesięcy.

● 3.01.

2012 r. - zmarł Zdzisław Jusis (79 l.), rzemieślnik, działacz echo- wy, b. poseł (1980-1984), b. piłkarz, wychowanek Kolejarza Gorzów, zawodnik Unii (1957-1966) i dwukrotny trener Stilonu (1963-1964 i 1967-1968).

● 5.01.

1563 r. - w Gorzowie spalono cztery kobiety oskarżone o przepowiadanie nieszczęść i spowodowania choroby na burmistrza.
 1997 r. - siatkarze Stilonu zdobyli Puchar Polski; największe osiągnięcie sportowe w 50-leciu klubu.

● 6.01.

1564 r. - po trzech tygodniach utrzymywania się wysokiej wody, wraz z ruszeniem lodów w Gorzowie wystąpiła powódź, która zniszczyła większość prześle mostu i porwała kawałek grobli i muru miejskiego, zniszczyła pola uprawne, liczne wsie i folwarki miejskie; pierwsza dość szczegółowo opisana powódź w dziejach miasta.
 1930 r. - poświęcono łaźnię publiczną, najnowocześniejszy wówczas tego typu obiekt na wschód od Berlina; było to ostatnie przedsięwzięcie Maksy Bahra; Łaźnią Miejską funkcjonowała do 2002 r., obecnie hala tenisowa GKS Gorzovia.

● 7.01.

1979 r. - nastąpił przełom w zimie stulecia, która w sylwestra sparaliżowała pół Polski, w tym Gorzów; ustąpiły silne mrozy, nastąpiła odwilż.
 1958 r. - zm. ks. bp Teodor Bensch (55 l.), pierwszy administrator apostolski diecezji warszawskiej, od grudnia 1956 r. ordynariusz gorzowski.

Wiekowy ratusz, który marnieje

7 października 1924 r. na uroczystym posiedzeniu magistratu oddano do użytku nowy budynek ratusza przy ul. Obotryckiej 16. Było to więc już ponad 90 lat temu.

W 1945 r. ratusz zajęty został przez sowiecką komendanturę wojenną. W okresie 1946-1950 stanowił siedzibę Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, następnie przeszedł w użytkowanie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i MO, a w latach 1989-2004 mieściła się tam siedziba Komendy Rejonowej i Miejskiej Policji. Od ponad 10 lat budynek stoi nieużytkowany. Według pierwotnych planów po remoncie miały znaleźć się tam wydziały urzędu miasta rozproszone obecnie po całym mieście. Prezydent Tadeusz Jędrzejczak zdecydował jednak, że lepszym rozwiązaniem będzie budowa nowego ratusza na Zawarcu,



Stary landsberski ratusz czeka na lepsze czasy i może się wreszcie doczeka

na co z kolei nie zgodziła się Rada Miasta. Rada nie wyraziła również zgody na sprzedaż obiektu przy Obotryckiej.

Co z wiekowym ratuszem postanowi zrobić nowy prezydent i nowa Rada? Tego jeszcze nie wiemy,

ale czas nagli. Bo zwyczajnie szkoda zabytkowego obiektu.

ZET

Nowi zastępcy prezydenta

Wraz z odejściem z urzędu prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka odeszli także jego zastępcy.

Ze stanowiskami pożegnali się Ewa Piekarczyk, Alina Nowak i Stefan Sejwa. Ich miejsca zajęli nieznanymi szerzej do pory Łukasz Marcinkiewicz, Agnieszka Stanisławska i Jacek Szymankiewicz. To były pierwsze decyzje kadrowe prezydenta Jacka Wójcickiego. Ponadto na jego wniosek rada miasta odwołała skarbnika Gorzowa Małgorzatę Zienkiewicz i powołała do tej roli Agnieszkę Kaczmarek.

W urzędzie nastąpiła nie tylko zmiana kadrowa, ale i pokoleniowa, bo nowa ekipa jawi się jako młoda, acz wykształcona i nieco już doświadczona. W ślad za tym pójść zapewne kolejne zmiany na stanowiskach kierowniczych w urzędzie oraz spółkach, zakładach i instytucjach podległych prezydentowi. Zresztą Jacek Wójcicki wyraźnie zapowiedział, że rewolucji nie będzie, ale będą zmiany, których mieszkańcy mniej lub bardziej niecierpliwie oczekują.

Niezbędne są także zmiany w samym urzędzie przy ul. Sikorskiego, w którym czas zatrzymał się wiele lat temu. Tu już nie wystarczy zwykłe malowanie, pucowanie i odświeżanie. Magistrat potrzebuje remontu.

ZET

Wreszcie znikną dymy nad naszym miastem

W dziejach Gorzowa jeszcze nie było tak wielkiej inwestycji. Na dodatek bez złotówki z miejskiej kasy, choć ma służyć przede wszystkim miastu.

Tą inwestycją jest budowa nowoczesnego bloku gazowo-parowego w gorzowskiej elektrociepłowni, która należy do Polskiej Grupy Energetycznej. Za prawie 800 mln zł. powstaje tu instalacja, która wytwarzać będzie ciepło dla całego miasta, używając do tego gazu, który pochodzić ma z pobliskiej kopalni w pobliżu Dębna. A to oznacza docelowo całkowitą rezygnację z węgla, którego palenie jest znacznie bardziej szkodliwe i uciążliwe dla środowiska niż używanie ekologicznego gazu. Budowa ruszyła w ubr. i według założeń cała instalacja ma być przekazana do użytkowania już w 2016 r.

Niezależnie od tej inwestycji realizowany jest w Gorzowie znany już projekt KAWKA, o którym szerzej piszemy w innym miejscu. Dzięki temu projektowi w śródmieściu zniknąć mają piece kaflowe i w 380 budynkach zamieszkałych i użytkowanych przez 7 tys. gorzowian pojawi się ciepła woda w kranach i kaloryferach. Oznacza to, że ubędzie i to



W gorzowskiej elektrociepłowni już niedługo przestaną używać węgla

znacznie w mieście pyłu, dwutlenku węgla i innych zanieczyszczeń powietrza. Zakłada się wręcz, że po 2017 roku emisje pyłów, dwutlenku siarki i benzopire-

nu spadną do zera, a emisja dwutlenku węgla obniży się o połowę. Inwestycję za 65 mln zł w imieniu miasta Zakład Gospodarki Mieszkaniowej.

DEL.

Miasto zmieniło bank i numery rachunków

Od 1 stycznia 2015 r. zmieniły się numery rachunków bankowych Urzędu Miasta Gorzowa i pozostałych jednostek budżetowych.

Przez najbliższe pięć lat obsługiwane będą przez PKO BP S.A. Zanim więc zapłacisz kolejny podatek lub opłatę lokalną, sprawdź numer rachunku. Nowe numery rachunków bankowych sprawdzisz na stronie:

Do dyspozycji mieszkańców będzie pięć punktów kasowych PKO BP S.A., w których płatności na rzecz miasta można dokonywane bez dodatkowych opłat:

PKO BP S.A. Oddział 1, ul. Kosynierów Gdyńskich 79.

PKO BP S.A. Oddział 2, ul. Górczyńska 21.

PKO BP S.A. Oddział 3, ul. Jagiełły 3.

Punkt kasowy PKO BP w Urzędzie Miasta, ul. Sikorskiego.

Punkt kasowy PKO BP w Urzędzie Miasta ul. Przemysłowa 53.

RED

Gorzowskim PKS-em do Poznania i Szczecina za 1 zł!

Gorzowski PKS nie ustępuje pola konkurencji. Od grudnia z Gorzowa do Poznania i Szczecina możemy pojechać już za 1 zł! Warunkiem jest kupno biletu przez internet, za pośrednictwem strony www.pks-gorzow.pl



Oto godziny odjazdu autobusów PKS z e-biletem za 1 zł:

Gorzów Wlkp. - Poznań	- 7.00, 15.40
Poznań - Gorzów Wlkp.	- 12.15, 19.00
Gorzów Wlkp. - Szczecin	- 12.30,
Szczecin - Gorzów Wlkp.	- 15.10.

Szczegółowe informacje o e-biletach gorzowskiego PKS na stronie www.pks-gorzow.pl

ECHOGORZOWA.PL

www.echogorzowa.pl
 Redakcja (adres do korespondencji):
 66-400 Gorzów Wlkp. ul. Walczaka 20, tel. 519 462 660
redakcja@echogorzowa.pl

Redaktor naczelny: Jan Delijewski.
 Zespół redakcyjny: Robert Borowy, Jerzy Kulaczkowski,
 Stanisław Miklaszewski, Renata Ochwat, Ryszard Romanowski.

Skład: Radosław Pieluszcak.
 Druk: Polskapiresse sp. z o.o.,
 Drukarnia Poznań, ul. Malwowa 158.
 Wydawca: Agencja MEDIA-PRESS Jan Delijewski

• czytaj na www.echogorzowa.pl – codziennie nowe informacje, opinie, komentarze •

Specjalna strefa nie tylko dla gospodarczego rozwoju

W gorzowskiej podstrefie Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej powoli wyczerpują się proste możliwości rozwoju.

Nie chodzi wcale o niższe ulgi podatkowe, jakie obowiązują od połowy zeszłego roku, czy też o brak ziemi pod kolejne inwestycje. Po prostu przy bezrobociu sięgającym w mieście około 7% coraz trudniej o pracowników. Dlatego firmy działające w strefie, które zatrudniają już kilka tysięcy osób, szukają ludzi do pracy w sąsiednich bliższych i dalszych miejscowościach.

Myśląc więc o dalszym rozwoju specjalnej strefy ekonomicznej, ale i rozwoju gospodarczym terenów o dużym potencjale, zarząd KSSSE stale zabiega o powiększenie zasięgu swojego działania nie tylko w woj. lubuskim, ale również w Wielkopolsce i Zachodniopomorskiem. Szczególnie tam, gdzie potencjalni inwestorzy mogą znaleźć dla siebie dogodne warunki w zakresie infrastruktury, logistyki oraz



firmy działające w strefie, które zatrudniają już kilka tysięcy osób, szukają ludzi do pracy w sąsiednich bliższych i dalszych miejscowościach

właśnie możliwości pozyskania kadr pracowniczych. W naszym regionie kolejnym takim miejscem są okolice Drezdenka, gdzie właśnie na podstawie rządowego rozporządzenia powstaje nowa podstrefa. Tereny podstrefy obejmują około 7 ha gminnych gruntów na wylocie z Drezdenka w kierunku Międzychodu. Według założeń na terenach włączy-

nych do strefy w ciągu najbliższych kilku lat może powstać ponad 4 tys. nowych miejsc pracy i ok. 900 w jej otoczeniu. A planowane nakłady inwestycyjne mogą wynieść ok. 1,3 mld zł. Oczywiście potrzeba na to czasu, bo najpierw konieczne jest uzbrojenie tego terenu w niezbędną infrastrukturę, a to wymaga pieniędzy i pracy. Już jednak pojawiają się

pierwsi potencjalni inwestorzy, którzy widzą tu szansę dla siebie.

Kostrzyńsko-Słubicka Specjalna Strefa Ekonomiczna od 1997 roku z sukcesem wspiera i obsługuje inwestorów krajowych i zagranicznych, dzięki czemu nie tylko nasze miasto i region rozwijają się gospodarczo. To są bezpośrednio zainwestowane miliardy i ponad 23

tysiące miejsc pracy w samej strefie i kolejne tysiące w jej otoczeniu. KSSSE jest najszybciej rozwijającą się polską specjalną strefą ekonomiczną zarówno pod względem finansowym, jak i terytorialnym. Obecnie jest to jedna z największych stref w Polsce. Jej atutem są atrakcyjne tereny przemysłowe, idealne pod inwestycje typu greenfield, czyli jako forma bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Inwestycje greenfield podejmowane są przez firmy, które finansują utworzenie w kraju docelowym zupełnie nowej jednostki poprzez budowę obiektów, instalowanie urządzeń i uruchamianie działalności gospodarczej. Inwestycje tego typu są preferowane, gdy proces produkcji jest pracochłonny lub gdy produkty firmy macierzystej są szeroko znane w kraju docelowym.

ZET.

Maszyny lepiej posortują te śmieci

Nowa linia technologiczna segregująca odpady w Chróściku spełnia wszelkie unijne wymogi i stawia gorzowski Zakład Utylizacji Odpadów.

Zakład Utylizacji Odpadów jest założoną w 1992 roku spółką miejską działającą na terenie Związku Celowego Gmin MG-6. Jeszcze do niedawna nikt chyba się nie spodziewał, że po 22 latach działalności stanie się jednym z najnowocześniejszych zakładów w Europie. Obok zakładu w Chróściku spółka stworzyła pole golfowe na Zawarcu i innowacyjny dział badawczo-wdrożeniowy w Stanowicach, ratując przy okazji tamtejszy popadający w ruinę pałac.

Zmodernizowana linia pozwoli również na uproszczenie selektywnej zbiórki odpadów. Ułatwi to życie mieszkańcom z powodu zastosowania najprostszego systemu segregacji, czyli podziału odpadów na suche, biologiczne i szkło. Nowa linia potrafi rozsortować odpady na kilkanaście rodzajów. Urządzenie techniczne potrafi także podzielić śmieci lepiej niż dobra gospodyni. No i nie czuć przy tym żadnych zapachów, które jeszcze do niedawna były tu czymś normalnym.

- Zastosowane urządzenia robią to lepiej i skuteczniej niż mieszkańcy - mówił prezes ZUO Marek Wróblewski,



Dzięki zmodernizowanej linii gorzowski ZUO stał się jednym z najnowocześniejszych zakładów tego typu w Europie.

dziękując pracownikom pionu gospodarki odpadami, którzy opracowali zakres modernizacji, jaki cały system. Dzięki zmodernizowanej linii gorzowski ZUO stał się jednym z najnowocześniejszych zakładów tego typu w Europie. Dołożono kilka istotnych elementów. Najważniejsze z nich to dwa kolejne aparaty fotooptyczne do sortowania odpadów oraz rzadko gdziekolwiek spotykany i bardzo innowacyjny separator zwany stołem balistycznym. Potrafi

on segregować odpady w zależności od ich ciężaru i kształtu. Powstała również druga nitka do produkcji paliwa alternatywnego RDF, którego produkcję rozpoczęto w 2011 roku. To wszystko pozwala dojść do tego, że zaledwie około 20% odpadów trafiających do zakładu będzie składowanych. Rozpatrując rzecz inaczej, aż ponad 80% tego, co wyrzucamy do śmietników, zostanie wykorzystane ponownie.

RYSZARD ROMANOWSKI

Mineralna prosto z kranu

Gorzowianie wcale nie muszą kupować butelkowanej wody mineralnej.

Jakiś czas temu podczas badań wody w jednym z gorzowskich ośrodków zajmujących się zdrowiem zarówno psychicznym, jak i fizycznym podałem plastikowy kubek z wodą z kranu. Był on jednym z anonimowych białych kubków oznaczony jedynie numerem, które zawierały najznamienitsze wody mineralne pochodzące z Polski, Francji i Włoch. Chodziło wtedy o uwodornienie i tzw. liczbę Beauvise, która im jest niższa, tym woda lepsza. Okazało się, że gorzowska „kranówka” pobiła znamienite marki, których półlitrowa flaszeczka potrafi kosztować ponad 4 zł. Słyszałem również od kolegów uprawiających turystykę motorową i żeglarzy, że zdarzało im się mylić gorzowską wodę z kranu zabraną do mycia z wyszukanymi wodami z marketów. Te ostatnie po wielu dniach i zaliczonych kilometrach zaczynały wydzielać nieprzyjemne osady i zapachy, a woda z kranu była jak kryształ. Nieco później okazało się, że gorzowska woda ma właściwości nieźle wody mineralnej.

Woda do gorzowskich kranów dochodzi z jednego z trzech ujęć. Najstarsze tzw. centralne znajduje się przy ul. Kosynierów Gdyńskich. Młodsze są ujęcia w Kłodawie i Siedlicach. Parametry wody z każdego ujęcia oraz atesty, o jakich marzą niektórzy producenci tanich wód mineralnych, każdy może obejrzeć na firmowej stronie. Przy czym litr gorzowskiej wody kosztuje 40 groszy. Czy za taką sumę można kupić litr wody mineralnej? Inna sprawa, że nieuchronnie, zdaje się, czekają nas podwyżki ceny wody. Ale i tak w Gorzowie jest taniej niż w wielu innych miastach. Mimo podwyżek...

Jednakże PWiK nie tylko dostarcza nam wodę dobrej jakości, ale również odbiera nasze ścieki, które po oczyszczeniu trafiają z powrotem do natury w stanie przyjaznym dla środowiska. A ponieważ stale rosną wymagania i potrzeby w tym zakresie, a i stan techniczny urządzeń tego wymaga, stąd też m.in. realizacja tej wielkiej inwestycji, której byliśmy świadkami na ulicach miasta, znanej pod nazwą „Uporządkowanie gospodarki wodno-ściekowej na obszarze Związku Celowego Gmin MG-6”.

RYSZARD ROMANOWSKI

KALENDARIUM Styczeń 2015

● 9.01.
1950 r. - Miejska Szkoła Muzyczna im. F. Nowowiejskiego została upaństwowiona i przekształcona w Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia.

1910 r. - ur. ks. Wilhelm Pluta, od 1958 r. biskup gorzowski, zm. w 1986 r.

● 10.01.
1914 r. - pierwsza lokomotywa przejechała nowo zbudowany wiaduktem.

● 11.01.
1992 r. - zm. Edward Jancarz (45 l.), najwybitniejszy gorzowski żuźlowiec, zawodnik Stali Gorzów (1965-1985) i Wimbledonu (1977-1983), 12-krotny medalista MŚ, 11-krotny uczestnik IMŚ, dwukrotny mistrz Polski w 1975 i 1983, trzykrotny zdobywca „Złotego Kasku”; zginął z ręki żony Katarzyny.

2002 r. - zm. Zenon Nowopolski (54 l.), dziennikarz gorzowski i historyk Dębna, autor monografii poświęconej dębnowskim maratonom oraz pomnika litewskich pilotów w Pszczelniku.

● 12.01.
1933 r. - ur. Henryk Ankiewicz, dziennikarz i pisarz, autor m.in. książek „Szkice gorzowskie” i „Tatarzy gorzowscy”, zm. w 2005 r.

Urodziny obchodzą:
1931 r. - ur. Zbigniew Petri, nauczyciel wf, maratończyk i długodystansowiec, organizator Klubu Biegacza im. Bronisława Malinowskiego.

1937 r. - ur. Roman Bukartyk, b. działacz polityczny i sportowy, b. kierownik drużyny „Stali” (1964-1975), b. wiceprezes KS Stilon, honorowy członek GOZPN, b. radny (1998-2010).

● 13.01.
1905 r. - przy ul. Szpitalnej i Teatralnej oddano kolejny obiekt kompleksu szpitala miejskiego z blokiem operacyjnym i kaplicą.
1963 r. - na lodowisku przy budynku dzisiejszej AWF rozegrano pierwszy mecz hokejowy między drużyną Miejskiego Ośrodka Sportowego a zespołem Studium Nauczycielskiego. W 1968 r. - w pięciolecie pierwszego meczu hokejowego - na nowo zbudowanym „Lodostilu” przy ul. Pomorskiej rozegrano pierwsze spotkanie drużyn hokejowych, w którym zawodnicy Stilonu Gorzów ulegli Sparcie Szczecin 1:16.

1941 r. - ur. Emanuel Lasker (72 l.), mistrz świata w szachach, syn barlineckiego rabina, jeden z najsłynniejszych absolwentów landsberskiego gimnazjum.
2009 r. - zm. Aleksander Dżilne (80 l.), b. prezes KS Stal (1967-1972), pionier miasta, budowniczy stadionu żuźlowego.

● 14.01.
1915 r. - ur. Kazimierz Nir, kołararz i pionier miasta, łucznik i trener łucznictwa, muzyk, zm. w 1988 r.

KALENDARIUM
Styczeń 2015

● 15.01.
1938 r. - ur. Ryszard Sawicki, b. działacz opozycyjny, b. dyrektor szpitala (1991-1997), pierwszy przewodniczący RM, jeden z organizatorów sportu niepełnosprawnych w Polsce, zm. w 2000 r.

● 16.01.
2003 r. - zm. ks. kanonik Jan Piłkuła (49 l.), od 1984 r. - pierwszy proboszcz parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego w Gorzowie i budowniczy kościoła, kapelan lubuskich myśliwych i policjantów.

● 17.01.
1944 r. - ur. Henryka Żbik-Nierubiec, artystka plastyk, specjalizująca się w tkaninie artystycznej, zm. w 2001 r.
1974 r. - zm. Łucjan Lepka (66 l.), grawer i działacz cechowy, pionier miasta, założyciel najstarszej w mieście firmy „Alba”.
1996 r. - zm. Aleksander Fogiel (86 l.), b. aktor gorzowski (1979-1980), odtwórca m.in. roli Maćka z Bogdańca w filmowej wersji „Krzyżaków” Aleksandra Forda i sołtysa w „Samych swoich” Sylwestra Chęcińskiego..
2013 r. - zm. Marian Klaus (86 l.), kompozytor, instrumentalista, stroiciel instrumentów, bard dawnej „Casablanki”.

● 18.01.
1972 r. - zm. Dionizy „Dysku” Wajs (87 l.), starszy o 26 lat mąż Papuszy, ceniony harfista, twórca 15-osobowej orkiestry, z którą zjeździł całą Europę.

● 19.01.
1949 r. - Leon Kruszona, pionier i pierwszy wiceprezenta miasta został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska.
2008 r. - bp Stefan Regmunt, nowy ordynariusz, dokonał ingresu do gorzowskiej katedry.

● 20.01.
2000 r. - zm. Władysław Klimek (73 l.), nauczyciel fizyki, esperantysta, działacz katolicki, b. radny (1990-1994), b. prezes Klubu Inteligencji Katolickiej, działacz „Wspólnoty Polskiej”.

● 21.01.
1985 r. - u zbiegu ul. Pomorskiej i Podmiejskiej doszło do karambolu pięciu wozów tramwajowych, w którym obrażenia odniosło dziewięć osób.

● 22.01.
1986 r. - zm. ks. bp Wilhelm Pluta (76 l.), od 1958 r. administrator apostolski, a od 1972 r. ordynariusz diecezji gorzowskiej; zginął w wypadku samochodowym.

● 23.01.
1944 r. - zlikwidowano przedostatnią linię tramwajową, wprowadzając komunikację trolejbusową również na trasie ul. Dworcowa - plac Słoneczny.
1987 r. - zm. Bekir Rodkiewicz (98 l.), imam, przywódca duchowy islamskiej ludności tatarskiej w Gorzowie.

Na pożegnanie prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka

Tadeusz Jędrzejczak po 16 latach odszedł z urzędu prezydenta Gorzowa, bo tego chcieli mieszkańcy miasta.

I odszedł z klasą, co trzeba mu przyznać i oddać. Pamiętamy jednak, że wcześniej trochę brakowało tej klasy w relacjach z mieszkańcami i Radą Miasta.

Ocena 16 lat urzędowania T. Jędrzejczaka nie jest prosta i łatwa. Niewątpliwie prawdziwe jest stwierdzenie, iż ma już trwałe miejsce w historii miasta nie tylko dlatego, że rządził najdłużej. Mimo wszystko Gorzów mocno się zmienił pod jego rządami, w czym jest jego duża osobista zasługa. Miał pomysły, plany i wizje, które wcielał w życie, nie oglądając się czasami na innych. I byłby na urzędzie może znacznie dłużej, gdyby pamiętał o swoich obietnicach i naszych nadziejach, gdyby tak mocno spiesząc się w przyszłość, tak bardzo nie zapomniał o teraźniejszości, która coraz mocniej skrzeczy. Lekceważąc przy tym niemal ostentacyjnie potrzeby, oczekiwania i tęsknoty gorzowian.

O ile pamięta mu się mniejsze i większe inwestycje, wypominając często ich koszty, o tyle nazbyt łatwo zapomina o tym, że położył duże zasługi w ratowaniu miasta od zapaści gospodarczej po upadku wielkich fabryk i zakładów, na których stał Gorzów. Przede wszystkim mam tu na myśli specjalną strefę gospodarczą, czyli



Tadeusz Jędrzejczak

podstrefę KSSSE w Baczynie, gdzie powstały tysiące miejsc pracy, ale i wcale spore i liczne firmy na terenie dawnego Stilonu. Bez tego nie można byłoby myśleć i marzyć dzisiaj o lepszych płatnych miejscach pracy i rozwoju miasta.

Zrozumiałe było także jego budżetowe zaciskanie pasa, by miasto miało jak najwięcej pieniędzy i możliwości sięgania po środki unijne na realizację wielkich projektów, o których w ostatnich latach było głośno. Nie wszystkie jednak musiały się nam podobać w kształcie proponowanym akurat przez niego.

Najgorsze było jednak to, że w tym wszystkim zabrakło symetrii i właściwych proporcji między wielkimi planami a bieżącymi potrzebami. Tym bardziej, że ciągle mamy w pamięci nadmierną rozrzutność przy budowie filharmonii za 130 milionów czy wspieranie żużla w postaci turniejów Grand Prix za 15 milionów. Przy jednoczesnej biedzie i oszczędzaniu na drogach, chodnikach, parkach i zieleni, ale i kulturze oraz sporcie. O oświatowej nędzy już nie wspominając.

Z pewnością wielkim cieniem na jego prezydenturze położyły się powszechnie znane sprawy prokuratorsko-sądowe. To zapewne z tego powodu zamykał się sobie, przestawał słuchać i wsłuchiwać się w głosy i opinie innych, mających często odmienne zdanie, i odsuwać ich wręcz od siebie. Na swój sposób stracił więc kontakt z rzeczywistością, rzeczywistością przez nas każdego dnia widzianą i doświadczaną, co sprawiło, że on sam i jego otoczenie nie mogło do końca zrozumieć, skąd wzięła się ta wyborcza przegrana.

I to byłoby na tyle na pożegnanie byłego już prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka, oczywiście w dużym skrócie i wielkim uproszczeniu.

LESZEK ZADROJĆ

Akademia Gorzowska coraz bliżej

Takiego spotkania na szczycie w sprawie powołania Akademii Gorzowskiej jeszcze nie było.



Przyłączenie AWF do PWSZ jest najkrótszą drogą do Akademii Gorzowskiej.

W siedzibie Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej z władzami uczelni spotkali się w grudniu poseł Krystyna Sibińska, senator Helena Hatka, marszałek Elżbieta Polak oraz prezydent Jacek Wójcicki. I wszyscy mówili jednym głosem, że trzeba to wreszcie zrobić, deklarując przy tym daleko idącą pomoc. Marszałek E. Polak obiecała nawet dodatkowe pieniądze na dokończenie remontu budynku fizjoterapii, by skłonić władze Akademii Wychowania Fizycznego do szybkiego podpisania porozumienia z PWSZ w sprawie wspólnego utworzenia akademii. Dalszą pomoc zadeklarował także prezydent J. Wójcicki. Teraz przede wszystkim od AWF zależy, czy jesienią 2015 roku rozpocznie działalność Akademia Gorzowska. Oczywiście, potrzebna będzie to tego specjalna ustawa, ale to biorą już na siebie nasze parlamentarzystki, pod warunkiem, że spełnione zostaną wymogi formalne.

Skąd bierze się ten opór i przeciąganie sprawy ze strony AWF, mimo jasnej deklaracji woli powołania samodzielnej gorzowskiej akademii? Można jedynie się domyślać i spekulować, bo oficjalnie nikt przynajmniej w Gorzowie nie chce mówić, że problemem są warunki przyłączenia gorzowskiego wydziału AWF do PWSZ, bo to jednak ma być przyłączenie a nie połączenie. A tu już na starcie, jak mówią nieoficjalnie i pokątnie pracownicy AWF, pojawia się pewna nierówność w traktowaniu obu podmiotów, przejawiająca się m.in. w zapowiedziach różnych ograniczeń i redukcji wobec części awfowskiej przyszłej akademii. W tej sytuacji niezbędne wydaje się uspokojenie nastrojów, chociażby poprzez wyraźną deklarację równoprawnego i symetrycznego traktowania obu umawiających się stron. Bez tego trudno o porozumienie, które dla niezwykle wrażli-

wego środowiska akademickiego ma wręcz życiowe znaczenie. Mimo iż wszyscy już zdają sobie sprawę, że przyłączenie AWF do PWSZ jest najkrótszą drogą do Akademii Gorzowskiej.

Najkrótsza nie dla wszystkich jest jednak najlepsza i bezwarunkowo do przyjęcia. I tu jest także duże pole do popisu dla nowych władz Gorzowa. Prezydent Jacek Wójcicki pierwszy krok już zrobił. Może zrobić również następne występując w roli zaangażowanego mediatora, który ma bardzo dużo do zaoferowania. Więcej nawet niż marszałek Elżbieta Polak, której hojność na rzecz akademickości Gorzowa nie przesłoni znacznie większej hojności na rzecz akademickości Zielonej Góry, ale to już temat na całkiem inne opowiadanie.

I jeszcze jedna sprawa. Z formalnego punktu widzenia dzisiaj z połączenia PWSZ z gorzowskim wydziałem AWF na dobrą sprawę mogłaby powstać właściwie tylko akademicka szkoła wyższa, czyli coś pośredniego między wyższą szkołą zawodową a akademią. Do powstania akademii potrzebne są bowiem dwa wydziały z prawem do doktoryzowania, a w Gorzowie mamy na razie jeden (AWF). Ustawa jednak pozwala, po spełnieniu określonych kryteriów i pozytywnej opinii resortowego ministra, na warunkową zgodę na stworzenie akademii, która w określonych czasie ma osiągnąć wszystkie niezbędne wymagania, w tym uzyskanie prawa do doktoryzowania na drugim wydziale. A PWSZ jest akurat na dobrej drodze do uzyskania tego prawa. Stąd te zabiegi i przyspieszenie, bo połączenie stworzy nowe możliwości rozwoju i działania, aczkolwiek o wszystkim przesądzi dopiero specjalna ustawa, którą nasi parlamentarzyści już zdaje się przygotowują i za nią lobbują.

JAN DELIJEWSKI

Ten mój Gorzów wcale nie Wielkopolski

Kiedy po studiach w Poznaniu szukałem pracy i życiowych perspektyw, koniecznie chciałem powrócić na Ziemię Lubuską.

Mogła być Zielona Góra, ale padło na Gorzów, ze względu właśnie na owe perspektywy, które miało młode wojewódzkie miasto pod koniec lata 70. ubiegłego wieku. W każdym razie nie chciałem pozostać w szeroko rozumianej Wielkopolsce, choć pojawiały się tam ciekawe propozycje pracy i płacy. Przed wszystkim z powodów mentalnych i sentymentalnych.

Od Wielkopolski jednak tak całkiem nie uciekłem, chociażby przez ten przymiotnik w nazwie miasta. Od początku on mi przeszkadza, irytuje i gnębi. Ale to pół biedy, gorzej, że on miastu i nam w dzisiejszym świecie szkodzi - wizerunko-



fol. Stanisław Miklaszewski

wo i biznesowo. Nie dosyć, że mylnie sytuuje nasze miasto w Polsce, to jeszcze deprecjonuje i degraduje w oczach mieszkańców kraju i świata. I złości mnie już tłumaczenie, że Gorzów jest miastem wojewódzkim leżącym poza najszerzej nawet pojmowaną Wielko-

polską. Niestety, często się zdarza, że wręcz mylą nasze miasto z Gorzowem Śląskiem. I wychodzi, że Śląski czy Wielkopolski, i tak nieznyany, bo to chyba jakaś mała miejscina...

Dlatego podpisuję się obiema rękami pod tym, co mówią ludzie w różnych środowiskach, że dla dobra Gorzowa trzeba odciąć przymiotnik „Wielkopolski” i odesłać do Poznania. I nie przekonują mnie argumenty o kosztach, bo całą operację można przeprowadzić tak, by była jak najmniej uciążliwa dla gorzowian, przedsiębiorców i miasta. Zresztą, żeby zyskać, trzeba najpierw stracić.

JAN DELIJEWSKI

● trzy pytania do...

Skonfliktowani z dziećmi z pokolenia na pokolenie

Iwony Szpakowskiej, psychologa z zespołu do spraw pieczy zastępczej Gorzowskiego Centrum Pomocy Rodzinie i Polityki Społecznej.

- Jakie są największe problemy gorzowskich rodzin zastępczych?

- W moim, podkreślam, wyłącznie moim odczuciu problemów jest coraz więcej. Pracuję od kilku lat z rodzinami zastępczymi, adopcyjnymi i rodzinami, którym się dzieci z różnych powodów odbiera i mam wrażenie, że jest tym rodzinom coraz trudniej. Nigdy nie było łatwo, ale w moim odczuciu są rodziny, w których od pokoleń coś źle funkcjonuje i bardzo trudno jest to przerwać.

- Na czym polega ten pokoleniowy łańcuszek?

- Trochę wygląda to rzeczywiście jak łańcuszek. Rodziny te próbują coś zmienić, zajmując się na przykład dziećmi swoich dzieci. Jednak często nadal powielają stare błędy. Dzieci nie zajmują się swoimi dziećmi z różnych powodów. Rodzice zajmują się nimi, następnie kolejnymi dziećmi i nadal popełniają te same błędy. Nie pomaga dobra wola, bo te dzieci sprawiają podobne problemy, jak niegdyś rodzice. Kolejni rodzice są skonfliktowani z dziećmi i tak dalej z pokolenia na pokolenie. Poza tym dzieci stają się kartami przetargowymi. Wiadomo, że ci ludzie mają różne problemy, jak np. bieda. Naprawdę jednak chodzi o to, że nie potrafią się zdystansować i skupić na własnych dzieciach.

- W jaki sposób może pomóc centrum, bo wygląda to jak dziedziczna choroba genetyczna tyle, że w sferze psychiki?

-Troszkę tak i ta choroba przechodzi z pokolenia na pokolenie. Mamy za zadanie przerwać ten łańcuszek i zająć się tymi rodzinami, żeby sytuację zmienić. W niektórych przypadkach to się udaje. Rodzice próbują inaczej spojrzeć na dziecko, zaczynają je rozumieć. Większość jednak nie chce korzystać z tej pomocy lub pozoruje, że chce, bo wie, iż z pomocą społeczną trzeba dobrze żyć, bo daje pieniądze. Myślę, że cały system nie do końca jest adekwatny do tych problemów, ponieważ jeśli coś się źle dzieje w rodzinie biologicznej i dochodzi do tego, że się dzieci zabiera, to wszystko powinno dziać się bardzo szybko. Dopóki trwa największa motywacja do zmiany. Jak się to wszystko rozciągnie w czasie z powodu procedur sądowych i innych problemów, jak przepisy itd., to motywacja mija. Rodziny widzą, że wszystko przeszło i ich zdaniem już jest w porządku. Rodzice odwiedzają dzieci raz w tygodniu. Dzieci się cieszą. Sielanka. Nikomu już nie zależy, aby sytuację zmienić. Reasumując, są problemy dziedziczone społecznie i systemowe

RAR



fot. Archiwum

Dyscyplina kosztów to jedno, ale najważniejsze są przychody

Ryszarda Hatały, wiceprezesa Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie

- Obserwując zmiany zachodzące w naszej lecznicy, można powiedzieć, że niedawny bankrut na poważnie zaczął przeżywać muskuły. Udało się wyprowadzić na prostą sprawy finansowe, teraz trwa ofensywa inwestycyjna. W czym tkwi ten sukces?

- Najprościej można powiedzieć, że jest to zasługa nie tylko kadry kierowniczej, ale wszystkich pracowników, a przede wszystkim pewnej konsekwencji działań. W ubiegłym roku przyjęliśmy określoną strategię, została ona zaakceptowana przez radę nadzorczą i krok po kroku realizujemy wytyczne tam cele. Powiem wprost, każdym szpitalem można zarządzać efektywnie, ale muszą być spełnione podstawowe warunki. Pierwszym z nich jest sprawa dawnych zobowiązań. Żaden szpital nie poradzi sobie, jeśli w pierwszej kolejności nie będzie w stanie obsłużyć zadłużenia. Jeżeli radzi sobie z tym, to z wypracowanej nadwyżki może zacząć inwestować. Jest to ważne, bo tylko poprzez zwiększanie przychodów możemy mówić o rozwoju danej jednostki. Niektórzy popełniają błąd, skupiając się na nadmiernym cięciu kosztów. To jest droga do nikąd. Oczywiście musi być zachowana pełna dyscyplina wydatków, ale nie można bezgranicznie oszczędzać. Wydatki mają mieć charakter rozwojowy, czyli zwiększając koszty, zwiększamy przychody. Dlatego tak mocno stawiamy na inwestycje, bo dzięki nim nie tylko podnosimy jakość usług, ale przede wszystkim rozszerzamy ich zakres.

- Tempo inwestycyjne, jakie narzuciliście w szpitalu pozwala wierzyć, że za kilka lat gorzowska lecznica może być stawiana na równi z najbardziej znanymi szpitalami w Polsce. Przesadzam, czy jest to jak najbardziej realne?

- Nie przesadza pan. Naszym założeniem jest, żeby był to szpital, którego ranga będzie odpowiadała poziomowi przychodów. Może niewielu gorzowian wie, ale to nasz szpital w tej chwili pod względem przychodów plasuje się w krajowej czołówce. Roczny kontrakt szpitala powoli zbliża się do 200 mln złotych rocznie. I teraz zmierzamy do unowocześnienia lecznicy pod każdym względem. Nie tylko wizualnym, ale głównie chcemy stosować najnowsze metody leczenia, bo tylko tym sposobem ściągniemy do nas pacjentów i dalej

będzie my napędzać poziom przychodów. Chcemy również, żeby nasi pracownicy czuli się tu dowartościowani, mieli możliwości podnoszenia kwalifikacji zawodowych i na długo wiązali się z tutejszym środowiskiem. Dodam jeszcze, że na razie pokazaliśmy opinii publicznej tylko część planowanych zadań inwestycyjnych. Nie wspominam tutaj o drobnych remontach czy zakupach, ale w planie są dalsze bardzo potrzebne, mniejsze i większe działania rozwojowe. Ot, choćby niebawem ogłosimy przetarg na modernizację za około 1,2 mln zł serwerowni. Jest to serce całej infrastruktury informatycznej szpitala. Po remoncie będziemy mogli rozwinąć u nas IT, zakupić terminale i to wszystko pozwoli na podjęcie pełnej pracy na dokumentacji elektronicznej. Już niedługo będzie u nas tak, że pacjent zrobi w ambulatorium badanie i zanim wróci na oddział jego wyniki czy zdjęcia rentgenowskie będą już w komputerze u lekarzy. Popularne papierki czy klisze odejdą do lamusa.

- Czy dzisiaj szpital jest już na tyle wiarygodnym partnerem, że łatwiej jest rozmawiać o pieniądzach na dalszy rozwój?

- Z pozyskiwaniem funduszy z zewnętrznych źródeł jest tak, iż najważniejszy jest odpowiedni pomysł i bardzo czytelna argumentacja. Przed rokiem najważniejszym zadaniem dla zarządu naszego szpitala było uporządkowanie wszystkich bieżących spraw i doprowadzenie do generowania nadwyżki. Dopiero po ułożeniu tych tematów zaprezentowaliśmy nasze projekty. Gdybyśmy od samego początku wyciągali ręce po pieniądze, zapewne nikt by nam nie uwierzył. Dopiero, gdy udowodniliśmy, że mamy fundusze na wkład własny, rozmowy zaczęły nabierać korzystnego dla nas kształtu. I jak wspominałem, to dopiero początek, ponieważ mamy opracowaną strategię rozwoju na lata 2014-2020. Nie chcemy o wszystkim mówić na wyrost, lecz pragniemy konsekwentnie działać i będziemy oczywiście informować o kolejnych ruchach, ale na bieżąco.

RB



fot. Archiwum

KALENDARIUM Styczeń 2015

● 24.01.

1947 r. - otwarto diecezjalną księgarnię św. Antoniego; jest to jedna z najstarszych, funkcjonujących stale w tym samym obiekcie, placówek handlowych w mieście.
2004 r. - w kolekturze Totalizatora przy ul. Szarych Szeregów w Gorzowie padła główna wygrana w Dużym Lotku - 3 013 545 zł.
2007 r. - zm. Jerzy Pogorzały (74 l.), działacz piłkarski, b. prezes ZKS Stilon (1982-1992), członek honorowy GOZPN.

● 26.01.

1951 r. - ks. inf. Edmund Nowicki, pierwszy administrator apostolski w Gorzowie, został usunięty z urzędu przez władze komunistyczne.
1925 r. - ur. dr n. med. Wiesław Greczner, b. żołnierz AK, specjalista ortopedii i traumatologii, twórca gorzowskiej ortopedii, zm. w 2005 r.

● 27.01.

1937 r. - uruchomiono po raz pierwszy komunikację autobusową w mieście; na miasto wyruszyły trzy pojazdy marki „Mercedes” i dwa „Magirus”, obsługujące dwie linie mające początek na Starym Rynku, pierwsza wiodła do koszar piechoty przy ul. Myśliwskiej, druga do szpitala psychiatrycznego.
1986 r. - z udziałem prymasa Józefa Glempa odbył się pogrzeb bp. Wilhelma Pluty; jego ciało złożone zostało w grobowcu wybudowanym w przedsiönku katedry.
1997 r. - zm. Irena Byrska (96 l.), aktorka, reżyser teatralny i pedagog, b. dyrektor Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie (1963-1966).

● 28.01.

1584 r. - podczas wojny rybnej między miastem i urzędem domowym w Mironicach o jezioro przy ul. Błotnej, burmistrz Simon Schede rozwiązał konflikt pokojowo, zapraszając starostę na baraninę z brukwią; jest to jedna z najstarszych wzmianek o jeziorze przy ul. Błotnej.
1981 r. - na rogu ul. Estkowskiego i Orłąt Lwowskich oddano nowy biurowiec Zakładów Mięsnych z zapleczem socjalnym, stołówką, sklepem; wszystko wyburzono w 2005 pod budowę „Askany”.
2002 r. - w nocy nad Ziemią Lubuską przeszła nawałnica, wichura sięgała 24 m/sek., w Gorzowie ok. 3.00 szybkość wiatru wynosiła 23 m/sek.; zginęły dwie osoby, kilkanaście zostało rannych; w Borku drzewo zważyło się na stajnię, w Gorzowie połamało wiele drzew.

● 29.01.

1971 r. doszło do zamachu bombowego na budynek Sądu Powiatowego przy ul. Mieszka I 42, eksplozja zdemolowała pięć pomieszczeń na wysokim parterze.
1994 r. w Gorzowie uruchomiono pierwsze anteny przekątnikowe telefonii komórkowej.

Biżuterią też rządzi moda

Renaty Zarys, która prowadzi punkt sprzedaży biżuterii w jednym z supermarketów.



fot. Archiwum

- Jak długo zajmuje się pani sprzedażą biżuterii?

- Minęły już trzy lata, od kiedy sprzedaję biżuterię. Jest to przyjemna praca, a rozpoczęłam ją dlatego chyba, że jest to takie kobiece. Biżuteria, kamienie szlachetne, diamenty mogą fascynować.

- Co trzeba wiedzieć, żeby dobrze dopasować do klientki naszyjnik, kolczyki lub pierścionek?

- Są klientki bardzo wymagające, którym trudno coś polecić. Wielu klientkom jednak ja wybieram biżuterię i są z tego bardzo zadowolone. Trudno powiedzieć, jak to się robi. Może naprawdę trzeba mieć jakiś szósty zmysł, aby dobrze dobrać. Chodzi o wygląd, kolor oczu, włosów, osobowość a może coś jeszcze. Naprawdę trudno mi powiedzieć. Dobieram do twarzy, do sposobu ubierania się. Często biżuterię dla swoich kobiet wybierają mężczyźni, ale z nimi też bywa bardzo różnie. Bywają zdecydowani, lecz częściej są tacy, którym trzeba doradzić. Jakoś mi to wychodzi, a świadczy o tym rosnąca liczba stałych klientek. Nie mam zbyt wiele towaru, bo punkt jest nieduży. Staram

się go jednak dobrać tak, że każdy może znaleźć coś, co go zachwyci. Trzeba pamiętać, że biżuteria również podlega modom. Teraz bardzo modne są kryształ Swarovsky'ego. Podobają się klientkom już kolejny rok. Na pewno też panie podglądają kolekcje firmy Apart. Mamy podobne kolekcje, tyle że znacznie tańsze. Często bywa, że od dawna mamy coś, co dopiero oglądam w czasopiśmie jako nowość.

- Niektóre drobiazgi które leżą u pani na półkach za 100 lub 200 zł do złudzenia przypominają produkty renomowanych firm, które kosztują kilka tysięcy euro. Czy da się je odróżnić na palcu lub szyi?

- Dobrzy specjaliści i koneserzy zapewne poznają, ale zwykły szary człowiek nie.

RAR

KALENDARIUM Styczeń 2015

● 30.01.

1945 r. oddziały sowieckie zajęły Gorzów; godz. 2-3.00 - zarządzono ewakuację miasta; godz. 3.30 - sowieckie czołgi zaskoczyły mieszkańców Różanek; od godzin rannych - przy temperaturze ok. minus 10 st. trwał exodus mieszkańców i władz transportem kołowym i kolejowym; godz. 15.20 - sowieckie wozy pancerne przejechały przez Marwicę; komendant obrony Landsberga, nie wykonawszy rozkazów, wycofał się do Kostrzyna; godz. 16-18 - wycofujące się oddziały niemieckie wysadziły oba mosty na Warcie, przerwana została ostatnia linia tramwajowa Grobla - Dworzec, Zamoście zostało pozbawione energii i gazu; godz. 21-22 - ostatnie pododdziały niemieckie wycofały się z Górczyna przez ul. Matejki do koszar przy ul. Myśliborskiej; godz. 22.00 - w okolicy mostu na Kanale Ulgi landsberscy volkssturmiści ostrzelali batalion Volkssturmu wracający z Borka, zginęło 17 żołnierzy; ok. 23.00 - pierwsze oddziały sowieckie dotarły do śródmieścia; godz. 0.30 - ostatnie oddziały niemieckie pod dowództwem Waltera Neumanna opuściły koszarę przy ul. Myśliborskiej, udając się przez Małyszyn do Nowin; wg niektórych świadków pierwsze czołgi zwiadowcze wkroczyły do miasta 30 stycznia od strony obecnej ul. Konstytucji 3 Maja, stąd jej powojenna nazwa Armii Czerwonej; miasto zajęte zostało przez pododdziały 32 korpusu piechoty 5 Armii Uderzeniowej, jej dowódcą był gen. płk. Nikołaj Erastowicz Bierzarin (1904-45), później pierwszy komendant wojenny Berlina. 1995 r. w Gorzowie po raz pierwszy obchodzone Dzień Pamięci i Pojednania. 2001 r. w hallu Łaźni Miejskiej ponownie odsłonięto popiersie Maxa Bahra, zrekonstruowane przez Jerzego Sobocińskiego z Poznania; w uroczystości uczestniczył Jürgen Bahr, prawnuk fundatora Łaźni. 2004 r. gorzowscy alpiniści, Marek Kobus i Wanda Janik, zdobyli najwyższy szczyt Ameryki Pd. - Aconcagua (6960 m n.p.m.); nazajutrz dołączyli do nich pozostali uczestnicy Tomasz Walkowiak i Artur Brykner

● 31.01.

1948 r. - Państwowe Zakłady Inżynierii nr 3 przejęły obiekty byłej fabryki maszyn i odlewni żeliwa H. Pauckscha między ul. Jerzego i Grobla oraz byłej fabryki Gustava Schrödera przy ul. Przemysłowej 13-16, gdzie znajdowała się główna siedziba późniejszych Zakładów Mechanicznych. 2010 r. - nad Kłodawką przy ul. Chrobrego odsłonięto pomniki malarzy Jana Korcza i Ernsta Hensele-
ra. 1914 r. - ur. Jadwiga Osińska, Matka Faustyna od Jezusa Króla Miłosierdzia, pierwsza faustynka, przełożona generalna SS Miłosierdnego Odkupiciela, założycielka sanktuarium w Myśliborzu, zm. w 1955 i spoczywa na gorzowskim cmentarzu.

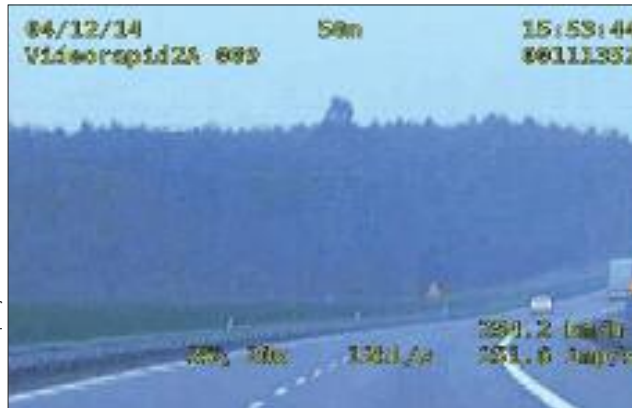
Szaleni kierowcy na lubuskich drogach

Czteropasmowa droga S-3, mimo „wąskiego gardła” na obwodnicach Gorzowa i Międzyrzecza, czyni podróż znacznie łatwiejszą i bardziej bezpieczną.

Ten kierowca chciał chyba ustanowić rekord prędkości na S-3. Pędził mercedesem w kierunku Gorzowa z prędkością 234 km/h, czyli aż o 114 km/h za szybko! Kiedy patrolujący ten teren policjanci nieoznakowanym radiowozem z wideorejestratorem zauważyli jadącego z nadmierną prędkością mercedesa, ruszyli za pojazdem, mieli początkowo problem, aby dogonić pirata. Po dokładnym pomiarze prędkości okazało się, że pędzi aż 234 km/h, w miejscu gdzie można jechać 120 km/h. Policjanci jechali za nim kilkanaście kilometrów, ponieważ trudno było go dogonić i bezpiecznie zatrzymać do kontroli drogowej. Udało się to dopiero na zwężeniu trasy w rejonie Gorzowa.

Piratem okazał się 27-letni mieszkaniec Szczecina. Mężczyzna powiedział, że zdaje sobie sprawę z tego, że jedzie z nadmierną prędkością, ale był tego dnia w Warszawie i bardzo spieszny mu się do domu, a droga jest dobra i jedzie bezpiecznie. Nie wziął najwyraźniej pod uwagę tego, że w razie nagłego hamowania zapewne nie zdążyłby zatrzymać pojazdu. W związku z przekroczeniem prędkości prawie dwukrotnie (234 km/h w miejscu, gdzie jest ograniczenie do 120 km/h), policjanci odstąpili od ukarania go mandatem karnym. W jego sprawie został skierowany wniosek o ukaranie do Sądu Rejonowego w Międzyrzeczu. Za tego typu wykroczenie grozi kara grzywny do 5 tys. zł.

Jeszcze szybciej postanowił pojechać 29-letni mieszkaniec Krosna Odrzańskiego, który pędził osobowym bmw ponad 250 km/h. Sytuacja ta miała miejsce w grudniu. Nieoznakowanego passata, którym poruszali się policjanci z Sekcji Zabezpieczenia Autostrady KWP w Gorzowie Wlkp., jeszcze na odcinku drogi wojewódzkiej



fol. Archiwum policji

nr 138 w rejonie Torzymia z dużą prędkością minął kierujący osobowym bmw. Choć policjanci ruchu drogowego na drodze widzieli już wiele ekstremalnych zachowań, to tym byli bardzo zaskoczeni. Próba zatrzymania szarżującego kierowcy „bmki” do łatwych nie należała. Tym bardziej, że zatrzymanie szaleńca musiało iść w parze z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa. Najdrobniejszy błąd przy tej prędkości mógł być tragiczny w skutkach. Tego zupełnie nie brał pod uwagę 29-letni kierowca, który po wjeździe na autostradę rozwinął prędkość swojego pojazdu do ponad 250 km/h! Blisko 30 km pogoń za piratem okazała się skuteczna.

Szaleńcza szarża tym bardziej była niebezpieczna, że kierujący bwm na tylnych oponach miał niemal do zera zużyty bieżnik. Opony bardziej przypominały te z bolidu niż tradycyjnych samochodów. 29-latek w dalszą podróż już się nie udał, ponieważ stracił dwa dokumenty. Dowód rejestracyjny oraz prawo jazdy. Przypadek ten zostanie rozpatrzony przez sąd. Wystawienie mandatu karnego w takiej sytuacji okazało by się niewspółmierne do zachowania tego kierowcy dlatego wniosek o ukaranie trafi do sądu.

Inny z kolei kierowca na drodze S-3 wywołał wielkie zdziwienie i zapewne przerażenie innych kierowców jadących pewnego dnia w stronę

Szczecina. Poinformowali oni oficera dyżurnego gorzowskiej komendy, że osobowe audi porusza się przeciwnie do kierunku ruchu. Według zgłoszenia samochód miał jechać pasem awaryjnym w stronę Gorzowa. Po tej informacji patrol ruchu drogowego udał się na trasę S-3. Nieodpowiedzialny kierowca został zatrzymany przy współudziale służby drogowej, która nadzorowała drogę ekspresową.

Zatrzymanym kierowcą okazał się 20-latek ze Strzelca Krajeńskich. Młody mężczyzna tłumaczył, że pomylił drogę i przez przypadek wjechał na S-3. Po około 20 km zawrócił i niezgodnie z kierunkiem jazdy jechał w stronę Gorzowa. Gdyby przejechał jeszcze kilka kilometrów, mógłby bezpiecznie zawrócić na węzle drogowym Myślibórz. Na szczęście jego jazda nie zakończyła się tragedią. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie byłyby skutki zderzenia z pojazdami, jadącymi w stronę Szczecina. Zdezorientowani kierowcy, którzy mijali jadący pod prąd samochód, mogli wykonywać gwałtowne manewry.

Kierowca nie był pod wpływem alkoholu, ani narkotyków. Złożył wyjaśnienia i przyznał się do winy. Za spowodowanie zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu drogowym nałożono na kierowcę grzywnę w wysokości 1 tys. zł oraz półroczny zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych.

Handlarze narkotyków już za kratkami

Policjanci i prokuratorzy prowadzą z narkobiznesem prawdziwą wojnę, która jedna nie ma końca.

W tym przypadku skuteczna praca gorzowskich policjantów z Wydziału do Walki z Przestępczością Narkotykową oraz Prokuratury Rejonowej i Okręgowej w Gorzowie pozwoliła na zatrzymanie sześciu osób i przedstawienie im łącznie 16 zarzutów. Troje z nich zostało tymczasowo aresztowanych. Osoby te ze sprzedaży amfetaminy i marihuany, których wartość szacuje się na ponad 110 tys. zł., uczyniły sobie stałe źródło dochodów. To blisko 5 tys. pojedynczych działek handlowych. Grozi im do 12 lat pozbawienia wolności.

Akt oskarżenia w tej sprawie trafił do Sądu Rejonowego w Gorzowie. Nad sprawą pracowali gorzowscy policjanci z Komendy Miejskiej Policji w Gorzowie Wlkp., którzy na zwalczaniu mechanizmów przestępstw narkotykowych znają się najlepiej. Ich czynności nadzorowała początkowo Prokuratura Rejonowa, a następnie Okręgowa w Gorzowie. Współpraca ta dała bardzo wymierne efekty.

Początkowe ustalenia związane były z dotarciem do wiedzy przez gorzowskich policjantów. Dalsze ustalenia poparte pracą operacyjną uwiarygodniały sygnały o dystrybucji narkotyków przez małżeństwo z Gorzowa. Mężczyzna w wieku 34 lat oraz jego 7 lat starsza partnerka mieli zajmować się handlem narkotykami. Była to amfetamina oraz marihuana. Para miała z tego procederu uczynić sobie stałe źródło dochodów. Zbierany krok po kroku materiał dowodowy coraz bardziej uwiarygodniał tę właśnie hipotezę. W momencie, kiedy był on na tyle przekonujący, doszło do pierwszych zatrzymań. Te nastąpiły już w marcu 2014 roku. Małżeństwo usłyszało po sześć zarzutów. Najcięższy dotyczy wprowadza-

nia do obrotu znacznych ilości narkotyków w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Łącznie udało im się wprowadzić na rynek ponad kg amfetaminy i taką samą ilość marihuany. To łącznie blisko 5 tys. pojedynczych działek handlowych. Pozostałe zarzuty dla tych dwojga dotyczą również wprowadzania do obrotu tych narkotyków, ale w ilościach już dużo mniejszych niż te opisane. Para decyzją Sądu Rejonowego w Gorzowie zaraz po zatrzymaniu została aresztowana na trzy miesiące. Później zastosowano środki wolnościowe. Zgodnie z przepisami ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, grozi im do 12 lat pozbawienia wolności.

Trzecim z podejrzanych w tej sprawie jest 33 letni gorzowianin. Mężczyzna był kurierem i odpowiadał za pomocnictwo w narkotykowym procederze. W związku z tym, że działał wspólnie i w porozumieniu ze wspomnianą dwójką, usłyszał podobny zarzut. On z kolei w areszcie spędził dwa miesiące i podobnie jak swoim współnikom, grozi mu do 12 lat pozbawienia wolności. Pozostałe trzy osoby to mężczyźni w wieku 32 i 33 lat. Oni usłyszeli zarzuty związane z posiadaniem narkotyków, które otrzymywali od głównych dystrybutorów - 41-letniej kobiety i 34 letniego gorzowianina. Oni po czynnościach procesowych zostali zwolnieni. Za przestępstwo, którego się dopuścili grozi im do trzech lat pozbawienia wolności.

Na podstawie materiału dowodowego zebranego przez policjantów oraz Prokuraturę Rejonową w Gorzowie Wlkp., wszyscy podejrzani przyniesli się do winy i złożyli wnioski o wydanie wobec nich wyroków skazujących bez przeprowadzenia rozprawy.

Złodzieje wchodzą do domu kulturalnie

W ostatnim czasie na terenie woj. lubuskiego doszło do kilku kradzieży pieniędzy dokonanych przez obce osoby.

Wchodzący one do domów pod różnymi pretekstami, np. powróżenia, sprzedaży kurtki lub dywanu i wykorzystując nieuwagę domowników kradli pieniądze lub cenne przedmioty.

W taki sposób straciła pieniądze 72-letnia mieszkanka niewielkiej wsi koło Skwierzyny, którą „odwiedziła” kobieta, mówiąc, że zdjęmie kłutwę z jej mieszkania.

Później, wykorzystując nieuwagę kobiety, ukradła jej pieniądze. Należy więc pamiętać, że przestępcy stosują różne metody w celu wzbudzenia naszego zaufania i przekonania o autentyczności sytuacji,

w której się znaleźliśmy. W kontaktach z nieznanymi najlepiej jest zachować wzmoczoną czujność i rozwagę. W sytuacji, gdy obce

osoby znajdują się w naszym mieszkaniu nie spuszczaјmy ich z oczu, nie pozwalajmy chodzić po domu i nie chwalmy się drogocennymi przedmiotami czy gotówką.

Cena za wygodę i świeże powietrze

Tak dużej inwestycji realizowanej przez Zakład Gospodarki Mieszkaniowej jeszcze w Gorzowie nie było.

Mowa oczywiście o przedsięwzięciu pod nazwą: „Redukcja emisji zanieczyszczeń powietrza w śródmieściu Gorzowa Wlkp.” Nie chodzi jedynie o wartość projektu, która wynosi ponad 71 mln zł, ale przede wszystkim o to, że w tysiącach mieszkań znajdujących się w 380 budynkach na Nowym Mieście przestaną dymić kominy i pojawi się centralne ogrzewanie oraz ciepła woda w kranie. To prawdziwa rewolucja śródmieścia, na której zyskają jego mieszkańcy oraz wszyscy gorzowianie. Mieszkańcy Nowego Miasta partycypować będą jedynie w kosztach instalacji w mieszkaniach i to jedynie 25%, których spłata zostanie rozłożona na 7 lat przy odsetkach wynoszących 2,5% w skali roku. To naprawdę niewiele w zmian za wygodę posiadania centralnego ogrzewania i świeżego powietrza przez cały rok.

Celem projektu jest ograniczenie emisji zanieczyszczeń powietrza poprzez lik-



Na Nowym Mieście przestaną dymić kominy i zatruwać powietrze...

widację wysokoemisyjnych systemów zaopatrzenia w energię ciepłą (piece kafłowe, c.o. etażowe węglowe) na obszarze o przekroczonych dopuszczalnych poziomach zanieczyszczeń - w śródmieściu Gorzowa (dzielnica Nowe Miasto). Projekt

dofinansowany zostanie ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w ramach programu priorytetowego: „Likwidacja niskiej emisji wspierająca wzrost efektywności energetycznej i rozwój rozproszonych odna-

wialnych źródeł energii” Bardziej znany jako program pilotażowy KAWKA.

Projekt zrealizowany jest w partnerstwie pomiędzy miastem Gorzów a PGE Górniczo i Energetyka Konwencjonalna z siedzibą w Bełchatowie. Operatorem, tj.

jednostką organizacyjną realizującą zadanie w imieniu miasta jest ZGM. Okres realizacji: 1.01.2014 r. - 31.12.2017 r. Działaniami projektu objętych zostanie 380 budynków zlokalizowanych w 27 kwartałach w śródmieściu Gorzowa ograniczonych ulicami: Jagiełły, Drzymały, Kosynierów Gdynskich, Wyszyńskiego i Roosevelta, o łącznej kubaturze ok. 1 293,5 tys. m³. Planowane jest wybudowanie sieci ciepłowniczych o łącznej długości 7 435 m oraz 6 546 m przyłączy wewnątrz kwartałów mieszkalnych. W 3 080 lokalach przewidziane jest przeprowadzenie modernizacji sposobu zasilania w c.o. i c.w.u.

Źródła finansowania to: 45% - dotacja Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej; 44,831% - pożyczka Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej; 10,168 % - wkład własny zapewniony przez partnera. Całkowita wartość projektu wyniesie 71.080.740 zł.

ZET

Rozliczanie ciepła w lokalach mieszkalnych

Podzielniki ciepła to urządzenia dla wielu osób ciągle bardzo tajemnicze, mimo że pojawiły się wiele lat temu.

Teraz w wielu budynkach następuje wymiana urządzeń starej generacji na cyfrowe. Są one dokładniejsze, ale sposób rozliczenia ciepła pozostaje taki sam. Podzielnik ciepła nie jest licznikiem, który można odczytać i uzyskać wartość przemnożyć przez jakąś kwotę. W wypadku podzielnika może zdarzyć się, że po różnych kombinacjach, dzięki którym wartość wyniesie bardzo mało, zapłacimy więcej niż byśmy zapłacili, nie zakreślając kaloryfera. Sposób naliczania jest bowiem zupełnie inny niż w tradycyjnych licznikach i internetowe porady o chowaniu podzielników do lodówki spowodują tylko wyższy rachunek wynikający z wyższej ceny jednostki.

Wystawienie faktury lokatorowi poprzedzone jest określeniem udziału ilości ciepła oddanego przez grzejniki w jego lokalu do całkowitej ilości ciepła dostarczonego do instalacji centralnego ogrzewania w budynku. Ilość ta wskazywana jest przez ciepłomierz zainstalowany w węźle cieplnym. Pamiętać należy, że wielkość zamówionej mocy cieplnej określa się w stosunku do całego budynku a nie poszczególne lokale.



W skład kosztów wchodzi moc pobrana, która wynosi około 60%. Pozostałe 40% to moc zamówiona, liczona się od m kw. i dzielona równomiernie na wszystkie lokale. W tym miejscu dochodzimy do podzielników. Przez cały rok mierzą one ilość jednostek, następnie pod koniec grudnia są odczytywane. Wskazania na podzielnikach zostają przez cały rok, można je sprawdzić i w ramach reklamacji można je odczytać i wykorzystać.

W zależności od wielkości grzejników ustala się współczynnik. Jak jest większy grzejnik, to współczynnik jest większy. Oprócz tego uwzględnia się położenie mieszkania, czy jest ono na parterze, ostatnim piętrze przy

ścianach szczytowych i wtedy są odpowiednie niższe. W tych lokalach są bowiem większe straty ciepła niż w pozostałych. W skład opłat wchodzi jeszcze ryczałt, którego wartość odejmuje się od sumy wskazań podzielników. Następnie dzieli się wynik przez sumę zużytych jednostek i otrzymuje cenę pojedynczej jednostki.

W zależności od tego, ile tych jednostek zostało w lokalu naliczonych po uwzględnieniu współczynników wynikających z położenia lokalu, wychodzi faktyczna liczba jednostek do rozliczenia. Liczbę tę mnoży się przez cenę jednostki i faktura trafia do lokatora.

Tradycyjne podzielniki działały na zasadzie parowania cieczy, która w każdym mieszkaniu zachowywała się mniej więcej podobnie, pozostawiając dość duży margines błędów, siłą rzeczy zaokrąglany na korzyść lokatora. Nowe urządzenia działają bardziej precyzyjnie i dokładnie rejestrują wszystkie zmiany. Zarówno stare, jak i nowe służą do określenia w taki sam sposób liczby zużytych jednostek ciepła.

RAR

Wodomierze a rachunki za wodę

Trwa wymiana wodomierzy głównych na radiowe. Ułatwi to znacznie ich odczyt.

Nie trzeba będzie więc szukać tych urządzeń po zakamarkach budynków. Wystarczy zbliżyć się na kilka metrów do wodomierza, żeby odczytać go na specjalnym urządzeniu.

- Odpada bieganie za kluczem do miejsca, w którym jest zainstalowany licznik główny. Szczególnie czasochłonna bywa odczyt w starych budynkach, gdzie liczniki bywają montowane w trudno dostępnych pomieszczeniach. Wodomierze lokalowe są w mieszkaniach i dostać się do nich można jedynie w obecności lokatora. Wyjątkiem są nowe budynki z oddzielnymi pionami - mówi **Łucja Szulc** z ADM 1.

Porównania wartości z licznika głównego z sumą wskazań podliczników wykazują w większości wypadków niewielkie różnice. Może kiedyś tradycyjne liczniki w mieszkaniach zostaną zamienione na urządzenia z możliwością radiowego odczytu.

Rozliczenie następuje raz na pół roku na podstawie odczytu wodomierza głównego i podliczników. Naliczane są zaliczki na podstawie poprzedniego okresu rozliczeniowego. Jeżeli lokator



tot. Archiwum

zużywa tyle samo wody co w poprzednim okresie, to wychodzi na zero. Jeżeli zużyje więcej lub mniej, wówczas wychodzi nadpłata lub niedopłata. Lokator otrzymuje dokładne rozliczenie. Jeżeli podczas odczytu podliczników nie ma lokatora, a zatem dostęp do urządzenia, to wystawiany jest rachunek na podstawie średniego zużycia.

W zasobach ZGM znajdują się również lokale, w których nie ma podwodomierza lub urządzenie to utraciło legalizację. Faktury dla mieszkańców takich lokali wystawiane są na podstawie wskazań wodomierza głównego, od których odejmuje się sumę wskazań pozostałych podwodomierzy w tym budynku. W każdym rachunku oprócz rozliczenia kosztów zużycia wody i ścieków zawarta jest opłata abonamentowa.

RAR



Adresy

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej
ul. Wełniany Rynek 3
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. (095) 73-87-101,
73-87-102
biuro@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl

Program Realizacji Świadczeń Wzajemnych pomaga tym, którzy nie są w stanie spłacić zaległych należności.

Więcej na
zgm.gorzow.pl/odpracujdlug/
tel. (095) 73-87-125
odpracujdlug@zgm.gorzow.pl

Biuro Zamiany Mieszkań
ul. Wawrzyniaka 4
tel. (095) 73-87-129,
(095) 73-62-100
bzm@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/zamianamieszkania/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 1
ul. Wyszyńskiego 38
tel. (095) 73-87-139,
73-87-142, 73-87-145
adm1@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm1/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 2
ul. Towarowa 6A
(budynek przychodni I p.)
tel. (095) 73-87-151,
73-87-155, 73-87-156
adm2@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm2/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 3
ul. Armii Polskiej 29
tel. (095) 73-87-162,
73-87-165, 73-87-176
adm3@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm3/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 4
ul. Drzymały 10
tel. (095) 73-87-180,
73-87-182 do 184,
73-87-186
adm4@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm4/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 5
ul. Gwiaździsta 4
tel. (95) 73-87-203 do 205,
73-87-209 do 211
adm5@zgm.gorzow.pl >
zgm.gorzow.pl

Mocno się trzymam i nie poddaję

Z Ryszardem Chwaliszem, przedsiębiorcą i organizatorem pikników lotniczych w Trzebieczu Nowym, rozmawia Ryszard Romanowski.

- Od kiedy to przedsiębiorca Ryszard Chwalisz stał się lotnikiem i organizatorem samolotowych zlotów?

- W 1995 roku pojechałem z bratem na targi do Pragi. Sprzedawaliśmy lampy, które produkujemy w naszej firmie. Wcześniej produkowaliśmy je z ojcem, a brat zaczął później wchodzić w ten interes. Wieczorem wracaliśmy i zobaczyliśmy stojący lekki samolot. Pomyślałem, że chyba sobie taki samolot kupię. Minęły dwa miesiące i rzeczywiście kupiłem sobie samolot. Tak zaczęło się moje latanie.

- Samolot to wydatek podobny do dobrego samochodu, ale sam samolot to nie wszystko.

- Tak. Problemy zaczęły się później. Potrzebny był jakiś pas startowy i umiejętności. Na szczęście poznałem wspólnych kolegów z aeroklubu poznańskiego, a wśród nich szefa wyszkolenia Witka Sorokę, który wiele mnie nauczył. Spędziłem z nim w powietrzu wiele godzin. Tak zaczęło się latanie i organizowane przeze mnie zloty. Pierwszy odbył się właśnie w 1995 roku. Wtedy była jedna motolotnia i mój samolocik, a i tak byliśmy zachwyceni. Tak powoli, powoli doszło do wydarzenia takiej rangi, jak ostatni 24 zlot, w którym uczestniczyło tysiące ludzi i dziesiątki samolotów. Jeszcze niedawno był jubileuszowy 20 a już zbliża się 25.

- Podobno jest pan największym pracodawcą w okolicy?

- Chyba jednak nie jestem największym pracodawcą, ale jednym z najdłużej działających. W minionym roku nadeszła taka fajna chwila, że obchodziliśmy 50-lecie firmy. Pół wieku temu, 16 lipca założył ją mój ojciec. Szkoda, że nie dożył do tego jubileuszu. Pomagał mi się w ten biznes wciągnąć.

- Ciągłe zmiany przepisów, kryzysowe sytuacje, czy można w przypadku firmy mówić o jakiejś stabilizacji?

- Na szczęście firma zdążyła zdobyć taką renomę,



Ryszard Chwalisz, przedsiębiorca i organizator pikników lotniczych

że radzimy sobie nawet w ciężkich czasach. Mamy dobre kontakty. Wiele z nich zostało po ojcu, ale również są nowe. Są firmy, które z nami od lat współpracują. Mamy trzy zaprzyjaźnione firmy z Niemiec, które kupują od nas i wchodzi nowi odbiorcy. Robimy lampy i różne inne elementy oświetlenia. Zdobyliśmy na rynku zaufanie, co nie jest takie proste. Oczywiście są chwile ciężkie, łatwe i dobre, ale jakoś sobie radzimy.

- W wielu miejscach, szczególnie na pikniku widać kobiecą rękę.

- Żona Ela dzieli moją pasję i razem organizujemy imprezy. Przy okazji prowadzi gastronomię, latem jest nam finansowo łatwiej, zimą trochę gorzej. Ale jakoś to idzie.

- Czy trudno pogodzić lotniczą pasję z prozą życia?

- Mój ojciec zawsze mówił: synek nie można się poddawać. Nie myśl, że będzie lekko. Mocno się tego trzymam i nie poddaję się w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Może dzięki temu spełniły się moje marzenia.

- Latanie to jedno, ale organizowanie dużych imprez lotniczych to co innego. Jak to się dzieje, że do Trzebie-

cza przylatują nie tylko najznamienitsi piloci z całej Polski, lecz również goście z różnych krajów Europy?

- Odwiedziłem bardzo dużo zlotów i przyjaciół, którzy mają lotniska. Bywałem w różnych aeroklubach, gdzie rozwijała się współpraca pilotów samolotów ultralekkich z całej Europy. Nauczyłem się bardzo dużo. Zaczęły przylatywać statki powietrzne z całego kontynentu. Ludzie robili sobie u nas przerwy w lotach. Coraz więcej pilotów zahaczało o nasze lotnisko i bardzo im się podobało. Tak nawiązywały się coraz to nowe kontakty. W ubiegłym roku mieliśmy również znakomitych gości z Danii. Leciło sobie 27 samolocików na rajd po Polsce, Niemczech, Czechach i Słowacji. Wylądowali, aby trochę u nas odpocząć. Mieliśmy gości z Francji. Gości z kraju i całej Europy jest bardzo dużo i z roku na rok coraz więcej. Z Niemcami współpracuje się doskonale. Musieli polubić Trzebiecz. Jestem też jedynym w Polsce pilotem będącym jednocześnie członkiem aeroklubu niemieckiego. Wśród wielu wspaniałych postaci ze świata lotnictwa bywają w Trzebieczu piloci z kadry narodowej. Tradycyjnie już gościliśmy ostatnio Darka i Sylwii

Kędzierskich, ale już jako wicemistrzów świata. Może w zdobyciu 11 tegorocznych medali pomogły treningi w Trzebieczu. Co roku imprezę uświetnia nestor motolotniarstwa dr. inż. Zbigniew Czerwik. Chyba impreza się podoba.

-Za nami 24 pikniki lotnicze, które z nich najmilej pan wspomina?

- Naprawdę trudno powiedzieć, bo na każdym działo się wiele ciekawych rzeczy. Mogliśmy oglądać przeróżne ciekawe statki powietrzne, a nawet nimi polatać. Lądowisko w Trzebieczu Nowym odwiedzały rzadko spotykane zabytkowe samoloty dzięki kolegom z zaprzyjaźnionego niemieckiego klubu Rote Adler. Był legendarny dwupłat amerykańskiej armii WACO, równie zasłużony Boeing, niemal stałym gościem jest niezwykle przed laty popularny AN 2, długo można wymienić. Przylatywały najciekawsze polskie konstrukcje, takie jak wiatrakowce ZEN czy motoszybowiec Fregata, dzieło konstruktora legendarnej Prąśniczki. Można było oglądać balony i spróbować skoków ze spadochronem. Na scenie występowały takie gwiazdy, jak np. Oddział Za-

mknięty. Nie brakowało lokalnych wykonawców, którzy na naszej scenie rozpoczynali swoje kariery. Naprawdę trudno wymienić jakiś jeden piknik lub jedno wydarzenie. Staraliśmy się, aby każdy był lepszy od poprzedniego.

- Na jakiej podstawie mówi się, że pikniki w Trzebieczu Nowym to druga w województwie impreza po Przystanku Woodstock?

- Wzięło się to chyba z badań marketingowych jednego z wielkich polskich browarów. Być może niektórzy czują się u nas jak na Woodstocku, widząc tą samą, bardzo charakterystyczną grupę ratowników cywilno-wojskowych, którzy dbają u nas o bezpieczeństwo.

- Jest pan jednym z założycieli Aeroklubu Gorzowskiego. Dlaczego podobnej imprezy nie organizuje się w Gorzowie?

- Bo nie ma gdzie. W mieście wojewódzkim nie ma lądowiska. Wypowiadałem się na ten temat wielokrotnie. Biznesmeni nie mają czasu na stanie w korkach, wiele części do maszyn przybywa drogą powietrzną, nie wspominając już ratownictwa medycznego. Dlatego trudno sobie wyobrazić na Zachodzie miasto, w którego granicach nie może wylądować mały samolot. Nie chodzi tu o lotnisko pasażerskie dla Dreamlinarów, tylko o lądowisko dla małych samolotów.

- Tak ogromna impreza, jak pikniki lotnicze, wymaga pomocy sponsorów. Jak wielkie firmy kojarzą lotnictwo?

- Jak na razie sponsorzy dopisują. Bez nich nie byłoby imprezy. Wśród firm, które nas wspomagają, jest wiele wspaniałych osób, a niektóre z nich również latają. Od lat współpracujemy także z nadleśnictwem, a i współpraca z samorządami dobrze się układa.

- Jako przedsiębiorca, organizator i pilot przeżył pan prawie wszystko, nawet lotniczy wypadek. Czy nie natchodziły myśli o zakończeniu kariery lotniczej?

- Tak, w powietrzu przeszedłem wiele. Analizując

swoją wypadek, dochodzę do wniosku, że przyczyną było chyba paliwo. Jakbym wtedy miał w zbiorniku dobre paliwo renomowanej firmy, to bezpiecznie doleciałbym do celu. Wtedy zrobiła się fatalna pogoda i silnik zaczął bardzo dużo palić. Zabrakło mi najwyżej 300 metrów. Wyraźnie widziałem bezpieczną łąkę, gdy nagle samolot zaczął przepadać. Przypomniałem sobie instruktora, jak niegdyś mówił, aby ratować ludzi, a nie dbać o samolot, który jest przecież ubezpieczony. Skierowałem się na drzewa. Dlatego poza rozbiciem samolotu nic się nie stało. Kontuzja nogi nie nastąpiła w rozbitym samolocie, a na przypadkowym kamieniu już na ziemi. Zupełnie nie zraziło mnie to do latania.

- Zostały panu jeszcze jakieś marzenia do zrealizowania?

- Mam coraz to nowe marzenia. Nie chcę na razie ich zdradzać. Wszystkie związane są z lotnictwem. Chociaż o jednym mogę powiedzieć. Chciałbym stworzyć szkołę modelarską dla dzieciaków, aby miały zajęcie przez zimę. Zimą jest bardzo długi. Jest ciemno, zła pogoda i marzenia o samolotach mogą zejść na odległy plan. Zwłaszcza, że na młodzież czyha wiele innych pokus. Znacznie łatwiej dostępnym. Tymczasem modelarstwo to wspaniała pasja i nauka zagadnień związanych z lotnictwem. Nie jest to tylko sposób spędzania wolnego czasu i nauka. Modelarstwo pomaga uwierzyć we własne siły i umiejętności. Chciałbym, aby na jubileuszowym pikniku nasze dzieciaki zaprezentowały jakieś swoje modele.

- Czy można już powiedzieć cokolwiek o tegorocznym, jubileuszowym pikniku lotniczym?

- Impreza już od dawna jest w trakcie przygotowań i realizacji. Trwa modernizacja lotniska i szykujemy wiele atrakcji. Goście na pewno będą zaskoczeni tym, co zobaczą.



Być lepszym w ładnej przestrzeni

Z Markiem Kobusem, architektem, przedsiębiorcą i podróżnikiem, rozmawia Robert Borowy

- Z architektonicznego punktu widzenia podoba się panu Gorzów?

- Porusza pan temat, gdzie każdy, a zwłaszcza architekt, ma prawo mieć własną ocenę. Symbolizuje to jeden z „architektonicznych” dowcipów. Po latach spotyka się dwóch architektów. Jeden z nich jest z synem. Ten drugi przypatruje się dzieciakowi, kręci głową i w pewnym momencie mówi „ja zrobiłbym to inaczej”. Rzecz w tym, że nie chodzi o szczegóły, detale, ale trzeba wypracować kompleksową wizję rozwoju miasta i konsekwentnie ją realizować. W Gorzowie zawsze tego brakowało i nic pod tym względem się nie zmienia. Dlatego odpowiadając wprost na pańskie pytanie, Gorzów nie jest najładniejszym miastem, ale bardzo dużo można i trzeba zrobić, żeby było lepiej.

- W czasach „gierkowski” był pan miejskim architektem i miał pan wpływ na rozwój miasta. Niewiele chyba wówczas udało się zrobić?

- Do Gorzowa przyjechałem 35 lat temu, gdy zespół architektów, w którym uczestniczyłem, wygrał ogólnopolski konkurs na projekt zagospodarowania centrum miasta. W tamtych czasach szybko okazało się, że projekt to jedno, możliwości drugie. Niewiele pomysłów z tamtego projektu zostało zrealizowanych. Organizatorom raczej chodziło o pozyskanie dla nowo powstałego województwa osób z wykształceniem architektonicznym, żeby szybko i tanio stawiać budynki mieszkalne, gdyż ludzie nie mieli gdzie mieszkać. Najgorsze, że mało od tamtych czasów się zmieniło. Niedawno ponownie rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs na zagospodarowanie centrum. Wielu świetnych architektów z kraju i zagranicy wykonało ciężką pracę, ogłoszono wyniki, rozdano nagrody i nastąpiła cisza. Projekty leżą gdzieś na strychu przykryte kurzem, a śródmieście niszczeje.

Nasze miasto straciło bardzo istotny sens uczuciowy i społeczny. Urbanizacja mimo definicji nie jest miastotwórczą. Nie można sprowadzać zagadnienia do sieci komunikacji i zasilania. Konieczna jest spójna wizja rozwoju śródmieścia, wizja nacechowana wrażliwością społeczną i duchem odpowiedzialności za wspólną przestrzeń. Solidarność pokoleń nie dotyczy tylko składki na ZUS płaconej przez aktualnie zatrudnionych dla emerytów. My musimy przekazać dziedzictwo kulturowe i materialne, przestrzeń,

w której żyjemy, następnemu pokoleniu w jak najlepszym stanie. Bez długów, bez zdegradowanego środowiska, bez rozpadających się kamienic, dziurawych ulic. To my jesteśmy za to odpowiedzialni.

- Skoro jest źle, to może nie trzeba porywać się na wielkie inwestycje, lecz skupić się na uporządkowaniu tego co mamy?

- Od 25 lat żyjemy w nowym, demokratycznym ustroju, który narodził się w starożytnej Grecji. Ale tam demokrację rozumiano nie tylko jako system rządów, lecz publiczną przestrzeń, która była bardzo starannie poukładana. U nas brakuje spójnej wizji rozwoju przestrzeni publicznej. Tu nie chodzi jedynie o posprzątanie miasta, aczkolwiek jest to ważna rzecz wymagająca natychmiastowych działań. Chodzi przede wszystkim o pewną zmianę mentalności, myślenia o dobru wspólnym. Można i trzeba wymienić nawierzchnie ulic, chodników, zbudować ścieżki rowerowe, urządzić place zabaw, oświetlić parki i zadbać o architekturę ulicy, czyli ławki, lampy, śmietniki, drzewa, gazony. To rzecz konieczna, ale niewystarczająca. To nie zlikwiduje istniejącego marazmu. Największym wyzwaniem jest zmiana świadomości społecznej. W mojej ocenie bardzo duże rezerwy tkwią w aktywizacji społecznej. U nas jest szereg ludzi wykluczonych, takich którzy gdzieś tam w pewnym momencie nie nadążyli za wszelkimi zmianami i potem przyszło zniechęcenie. W tym gronie jest mnóstwo wartościowych osób, których trzeba wciągnąć do społecznej aktywności. Sposobów jest naprawdę wiele. Pięknie to rozpoczynają liczne już ruchy obywatelskie. Ale muszą to zrozumieć ludzie z magistratu, bo oni mają największe możliwości organizacyjne. To urzędnicy powinni pamiętać, że miasto dobrze zarządzane to takie, w którym ludzie chcą mieszkać, pracować i wychowywać dzieci. Z którego nie wyjeżdżają, bo tu jest ich miejsce na ziemi.

- Czym jest architektura?

- Jest to sztuka kształtowania przestrzeni. Tworzymy ładniejszą przestrzeń, żeby każdy z nas, czuł się w niej lepiej, był coraz lepszym człowiekiem. Pamiętam, jak jeden z moich profesorów, żeby nam studentom zobrazować definicję, podał wyjątkowo prosty przykład. Jeżeli traficie, mówić, do zapuszczonej, brudnej i - prze-



Marek Kobus, architekt, przedsiębiorca i podróżnik

praszam za słowo - śmierdzącej ubikacji, to wielu, bez względu na poziom kultury osobistej wyjdzie i poszuka miejsca obok żeby załatwić swoją potrzebę fizjologiczną. Jeżeli natomiast ubikacja będzie czysta, lśniąca, pachnąca i zadbana, wielu się zastanowi nim rzuci na posadzkę papierka czy peta. Człowiek w ładnej przestrzeni staje się lepszy. Gorzów natychmiast można i trzeba posprzątać. Gdy przestaniemy być zmuszeni do patrzenia pod nogi, aby się nie przewrócić, podniesiemy głowy i wtedy na dobre dojrzymy konieczność zajęcia się architekturą.

- Prawie każde miasto ma swoje reprezentacyjne miejsce, gdzie spotykają się ludzie, turyści, gdzie odbywają się różne wydarzenia społeczne. Czy Gorzów ma takie serce?

- Gorzów został dosyć mocno poobijany przez liczne zakręty historii. Centrum praktycznie nie istnieje. Znaczna partia miasta jednak pozostała. W sytuacji, kiedy zanika nam wspomniany duch miasta, powinniśmy starać się uratować okolice katedry i trakt Chrobrego, to jest szansa dla Gorzowa. Nie chciałbym w tej chwili snuć tutaj prywatnej wizji. Najważniejsze jest, żeby przyjąć strategiczne cele i na ich bazie przygotować plan działania. Podstawą do rozpoczęcia działań winien być rozstrzygnięty konkurs, o którym wspominałem. Mówiąc o wizjach, nie możemy skupiać się tylko na propozycjach architektonicznych. Tu nie chodzi o to, czy tramwaj ma jeździć ulicą Chrobrego, czy nie. Ważne jest, czy ze społecznego punktu widzenia są tam potrzebne tramwaje. Jeżeli tak, to przyjmujemy tę propozycję i przechodzimy do następnej. Architekci sobie poradzą z zaprojektowaniem

stosownej nawierzchni, spowolnieniem ruchu itp. Analizujemy, co ma znajdować się na takim deptaku. Wiemy, że jedna i druga galeria wysłały ruch handlowy z centrum, ale nie ma co już nad tym dyskutować. Trzeba poszukać innych, może ciekawszych rozwiązań. Galerie artystów, świetlice środowiskowe, miejsca spotkań seniorów, kluby osób wychodzących z uzależnień - przykłady można mnożyć, chodzi o to, aby było po co tam chodzić. Mając taki pakiet wizji, zasiadamy i dopiero projektujemy. A potem konsekwentnie realizujemy krok po kroku, w zależności od możliwości finansowych, przyjęty plan.(...)

- Pana pasją są podróże po całym świecie. Często

Życie umyka szybciej niż się spodziewamy. Można i trzeba to zmienić, życzliwość już zaczyna być modna.

dociera pan tam, gdzie nie ma turystów. Może my, Europejczycy, powinniśmy lepiej poznać inne kultury i inny styl życia, żebyśmy wtedy naprawdę zaczęli rozumieć, jakie są najważniejsze wartości w życiu?

- Rzeczywiście, wyprawy, które organizujemy z kolegami, są często w miejsca, gdzie nie docierają turyści za pośrednictwem biura podróży. Byłem w ponad 100 krajach na wszystkich kontynentach. To jest inna optyka postrzegania rzeczywistości niż przy zwiedzaniu powszechnie dostępnych ładnych miejsc. Ale to nie jest inny świat. To my jesteśmy innym światem. Nasza kultura i cywilizacja śródziemnomorska to raptem Europa, Ameryka, Australia. W tym

kręgu kulturowym nas wszystkich jest 25%, pozostałe 75% to jest właśnie ten inny świat. I z ich punktu widzenia nie możemy narzucać reszcie swoich wartości. Owszem, zazdroszczą nam tej naszej cywilizacji, gdyż każdy człowiek stosunkowo szybko i łatwo przyzwyczaja się do dobrobytu. Ale życie to nie tylko kwestie materialne. Wie pan, że najszcześliwszym społeczeństwem na świecie są mieszkańcy Bhutanu, jednego z biedniejszych krajów na naszym globie. Byłem na wyspie Bantayan na Filipinach miesiąc po tym, jak przeszło tam oko cyklonu Haiyan, największego jaki kiedykolwiek dotarł do lądu. Zniszczył wszystko na swojej drodze, zabijając wielu ludzi. Bieda jest tam w tej chwili nie do opisanie. Tym niemniej ludzie tam są pogodni, życzliwi, pomocni, uśmiechnięci.

- U nas, niestety, brakuje zwykłej ludzkiej życzliwości. Można to zmienić?

- Po sierpniowym komunizmie zachłysłnieliśmy się dobrobytem materialnym Zachodniej Europy. Wielu z nas uczestniczy jeszcze w tak zwanym wyścigu szczurów, którego wygrać nie sposób. Kto wchodzi do tej absurdałnej gry, do wyniszczającej walki o dobrobyt materialny, często nie dostrzega spraw społecznych, traci przyjaciół. A kiedy zorientuje się, że to wszystko mija się z celem, często bywa za późno. Życie umyka szybciej niż się spodziewamy. Można i trzeba to zmienić, życzliwość już zaczyna być modna.(...)

- Jako doświadczony przedsiębiorca uważa pan, że nasze miasto jest przyjazne dla rozwijania lokalnego biznesu?

- Osobiście nie odczuwam żadnych niedogodności w prowadzeniu działalności gospodarczej. Jest to zapewne związane z tym, że przez 25 lat wolności gospodarczej nabrałem odpowiedniego doświadczenia. Nie oznacza to, że jest dobrze. Na pewno wiele rzeczy można uprościć, żeby szczególnie młodzi ludzie, mający ciekawe pomysły, nie obawiali się rozpocząć ich realizacji poprzez założenie własnej firmy. Przepisy prawa nigdy nie nadążają za ludzką inwencją. Istotne jest zaangażowanie urzędników, którzy powinni przyjąć postawę pomocną, wyzbyć się myślenia, że czegoś się nie da zrobić. To oni, nawet gdy nie mają na coś wpływu, winni pokierować, doradzić, jak daną sprawę można szybko i prosto załat-

wić. Ale pamiętajmy również, że zmiana świadomości nie może działać tylko w jedną stronę. Każdy, kto chce rozwijać się w sferze większego lub mniejszego biznesu musi również wiele dać od siebie.

- Gorzów jest skazany na bycie miastem o niskim wskaźniku zamożności?

- To zależy, jak będziemy promować rozwój gospodarczy. Trzeba pamiętać, że tak zwana realna gospodarka, to nie są tylko wielkie zakłady. To bardziej drobna, mrówcza praca jak największego groma przedsiębiorców. Zawszą jesteśmy atakowani różnymi liczbami dotyczącymi dochodu krajowego brutto, ale przecież pojedynczego człowieka nie interesuje, czy zakład na drugim końcu Polski wyprodukuje milion czy milion sto telewizorów. Mało tego, realna gospodarka stanowi może 50% obrotów. Reszta to są operacje instytucji finansowych z udziałem wirtualnego pieniądza. Jest to często szkodliwe dla normalnej działalności. Wie pan, jak Szwajcarzy budują swój majątek? Tam od pokoleń dba się o dziedzictwo, inwestuje się w remonty, w rozbudowy, w modernizację. Kolejne pokolenie nie zaczyna od nowa. Nieruchomości, przedsiębiorstwa przez lata zyskują na wartości, a suma działań całej społeczności podnosi majątek kraju. U nas nie ma jeszcze takiego działania, ale największym problemem hamującym rozwój wszelkiej działalności są rosnące obciążenia fiskalne. Dlaczego one rosną? Bo państwo i samorządy zamiast racjonalnie planować wydatki, zadłużają się, co w konsekwencji zmusza je do podnoszenia budżetowych wydatków w kolejnych latach, nie patrząc na realne wpływy. Musimy nauczyć się dbać o dziedzictwo kulturowe. Tego w Gorzowie nie robimy. Finansujemy nowe obiekty, a jednocześnie pozwalamy, żeby w ruinę popadła zasadnicza tkanka miasta, wspaniałe budynki w śródmieściu, wybudowane jeszcze przez Niemców. Wyremontowanie ich utworzy ładniejszą przestrzeń, o której wspominałem wcześniej, wielokrotnie podnieś wartość finansową miasta. Zachęci też innych do inwestowania i tak właśnie nakręca się realną gospodarkę.(...)

czytaj

cała rozmowa na
www.echogorzowa.pl

Jak ktoś ma rację, to zmienię poglądy

Z Augustynem Wiernickim, prezesem firmy Metalplast i Stowarzyszenia im. Brata Krystyna, rozmawia Ryszard Romanowski

- Stworzył pan dużą, dobrze prosperującą firmę a jednocześnie działa pan od lat charytatywnie. Jak to wszystko się zaczęło?

- Miałem to szczęście, że od 1973 roku byłem dyrektorem dużej firmy i to za czasów Gierka, do tego będąc bezpartyjnym. Była wówczas taka fala pod nazwą „młodzi do władzy”. Wygrałem konkurs i się załapałem. Oczywiście w stanie wojennym na mocy dekretu mnie wyrzucano. Obserwuję to wszystko od tamtych czasów i staram się odróżnić prawdę od głupoty. Szybko dochodzi się do wniosku, że trzeba się opierać tylko na prawdzie. Od tamtych czasów bacznie to wszystko obserwuję. W stanie wojennym z tzw. wilczym biletem trudno było o pracę. Jeden z sekretarzy partii powiedział mi wtedy, że od dzisiaj mogę być co najwyżej palaczem. Tak rzeczywiście było. Gdziekolwiek się pojawiłem, dostawałem decyzję odmowną. Tak się właściwie zaczęła moja przygoda z biznesem, chociaż w komunie też robiłem biznes. Byłem szefem dużej instytucji handlowej. Robiłem wszystko w oparciu o zasady ekonomii. Komuna musiała paść, bo ekonomię zamieniła na ideologię. Dzisiaj też ekonomię zamienia się na ideologię jakiegoś tam wolnego rynku. Dzieje się to samo. Politycy tego nie rozumieją, bo weszli na ścieżkę ideologizacji ekonomii. Nieograniczony wolny rynek, czyli rekin bierze wszystko. Gospodarkę trzeba rozumieć i umiejętnie nią sterować. Niemcy mogą sterować swoją gospodarką, Szwecja również, nie wspomnę o Finlandii, a nam wciśnięto do głowy, że nie wolno nią kierować. Wystarczy wolny rynek. Rząd to taka grupa bezrobotnych, którzy dobrze zarabiają, pilnując, żeby rekin brał wszystko.

- Stworzył pan jednak w tych warunkach stabilną firmę.

- Swoją pracę w realiach polskiego wolnego rozpocząłem z przymusu. Zaczęły kończyć się zasoby finansowe, pojawiły się długi i z żoną założyliśmy malutki kiosk przy ul. Mieszka I w Gorzowie. Przy czym Gorzów stał się miejscem mojej banicji, do którego musiałem uciekać i gdzie w końcu kupiłem mieszkanie. Sklepik zaczął nieźle prosperować i w końcu zrobiła się z niego całkiem rozsądna firma. Jak wyszedłem z biedy i zaczęło się dosyć dobrze dziać, po-

myślałem, że warto byłoby dać coś społeczeństwu. Założyliśmy organizację charytatywną przy parafii Pięciu Męczenników. Był to w 1992 rok i nie bardzo było wiadomo, jak w takiej organizacji działać. Był to początek wielkiej transformacji i wielkich nadziei na to, że zacznie się dobrobyt, że wszystkim zacznie się dobrze dziać. Tymczasem stało się, jak się stało. Oczywiście jakieś 15% społeczeństwa całkiem nieźle sobie żyje, a dla 1% jest wręcz cudownie. Można też powiedzieć, że połowa społeczeństwa jakoś żyje, a druga połowa nie radzi sobie z niczym, jest zadłużona i wegetuje od pierwszego do pierwszego. Z tego co najmniej 20% to wielka nędza.

- Jakie były pierwsze działania stowarzyszenia?

- Założyliśmy pierwszą stołówkę dla ubogich. Robiłem to trochę od niechcenia, bo musiałem walczyć jeszcze ze spłatą długu związanego z tym naszym biznesem. Wtedy też proboszcz Władysław Pawlik opowiadał, że przychodzi do niego wiele osób prosząc o talerz zupy, że widzi kłopoty w rodzinach, gdy zaczyna brakować ziółówek na chleb itd. Pozornie tej biedy nie było aż tak w mieście widać, trzeba było się dobrze przyjrzeć. Zrobiłem tę stołówkę,

Połowa społeczeństwa jakoś żyje, a druga połowa nie radzi sobie z niczym...

aby społeczeństwu spłacić dług i okazało się, że zamiast spodziewanych 30 osób na obiad przyszło 100, a po paru dniach prawie 200. Trzeba było wszystko zrobić inaczej. Pojechałem do Szwecji podglądać Armię Zbawienia. Okazało się, że bogatą Szwecję trudno było porównać do Polski i trzeba robić po swojemu. Wtedy jeszcze u nas można było coś takiego zrobić, bo istniało dużo małych sklepów, hurtowni, znacznie więcej piekarni skąd dostawaliśmy produkty. Założyliśmy taką grupę żebraczy i sam stanąłem na czele tego żebractwa, bo wykarmić 200 osób to nie takie proste. Trzeba by być Rockefellerem.

- Chodząc po ulicach, nie widzę aż tak wielkiej biedy.

- Do tej pory wielu ludzi mówi, że nie ma biedy. Niech pan zapyta tego, co przyjedzie Mercedesem, to



Augustyn Wiernicki prezes firmy Metalplast i Stowarzyszenia im. Brata Krystyna

usłyszysz pan, że nie ma biedy a po ulicach chodzą nieroby. Ci, którym się jako tako powodzi, częstą mają jakąś zaćmę na oczach i nie chcą widzieć biedy. Wystarczy przyjechać do nas i zobaczyć, jak za samym chlebem stoi 200 lub 300 osób. Tylko za chlebem. Proszę powiedzieć kiedy w Polsce ludzie stali za chlebem? Człowiekowi opłaca się przyjść po bochenek za 1,50 zł. Najczęściej bierze dwa, aby jeszcze na jutro zostało. Jak nie ma co zjeść, to posmaruje chleb smalcem i da dziecku do szkoły. Biedę się widzi, jak się jej dotknie, jak jest blisko. Dzisiaj wszyscy chodzą ładnie ubrani, bo wystarczy zejść do „ciucholandu”, aby za 2 złote kupić całkiem rozsądny ciuch. Polska zamienia się w kraj „ciucholandów”. Wszystkie sklepy z dobrą odzieżą pozniwały. Dobre sklepy zamieniają się w złe. Dobry towar wypierany jest bardzo przeciętny. Jeszcze widać jakiś ruch w galeriach handlowych, ale tam też cudów nie ma.

- To do jak szerokiego kręgu ludzi dociera Stowarzyszenie Brata Krystyna?

- Stowarzyszenie Brata Krystyna ma już 22 lata. Można więc odnieść się do tego, co było kilka lat temu. Gdy mieliśmy żywność z systemu europejskiego, to około 3 tys. osób dostawało rozsądne paczki żywnościowe. W północnej części naszego województwa 30 tys. osób dostawało żywność. To była tylko część z tych, którzy powinni dostać. Nie dojeżdżamy do wszystkich wiosek, a tam dopiero jest bieda.

- Czy chodziło tylko o brak żywności?

- Nie dojeżdżaliśmy, bo nie starczało na paliwo. Naszej władzy brakuje wyobraźni. Nie zdaje sobie sprawy, że paliwo decyduje o dystrybucji żywności. Chodzi raptem o około 10 tys. zł rocznie, aby kilka razy odwiedzić te wioski. Skąd my, działając społecznie, możemy wziąć tyle paliwa. Mamy 13 świetlic środowiskowych, w których dzieci dostają co najmniej jeden posiłek i mogą odrobić lekcje z pomocą wychowawczyń i pedagogów. Mamy Centrum Charytatywne, gdzie świadczą pomoc prawnicy, adwokaci. Tam dopiero można sobie zdać sprawę, ile osób ma niepozałatwiane przeróżne sprawy rodzinne, własnościowe itp. Ludzie nie wiedzą, jak je pozałatwiać. Rozpadają się rodziny, małżeństwa, uciekają dzieci, jest nieskończona liczba problemów.

- Poziom biedy zawsze jest odbiciem rozwoju gospodarczego i przepływu pieniądza?

- Niestety pieniądź jest towarem zupełnie nieznanym naszym politykom. Bieda jest funkcją siły gospodarczej kraju. Powiedz mi, jaką masz siłę gospodarczą, to powiem, jaki masz wskaźnik biedy. Siła gospodarcza zależy od kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu dobrze ciągnących parowozów. Powiedz, ile masz w kraju tych wielkich parowozów, to powiem, kiedy gospodarka wyjedzie na prostą. Myśmy te parowozy ciągnące gospodarkę zniszczyli. Jak ich nie ma, to te małe zakłady, warsztaty i zakładziki są wagonikami, których nikt nie ciągnie. W Niemczech jednym z parowozów jest Volkswagen, któ-

ry zatrudnia 400 tys. pracowników i ciągnie kilka milionów małych firm.

W Gorzowie z działających małych firma nie będzie żadnego chleba. Nikt ich nie ciągnie, bo nie ma kto. Dobry właściciel czasem trochę popchnie do przodu i cieszy się z jednego kroku. W tym czasie niemieckie odpowiedniki zrobiły kilometry. Dlaczego tak jest? Bo alfabetyzm ekonomiczny sięgnął szczytów, a gospodarka i ekonomia zamienia się w libertyńską filozofię funkcjonowania gospodarki państwa. Niech ktoś powie, że stworzy się nową Gdynię, nowy Centralny Okręg Przemysłowy i prawdziwe przedstawicielstwa handlowe w całym świecie, a nie takie, co nic nie robią, to może w coś uwierzę. Niemcy, Anglicy i inne kraje mają przedstawicielstwa, które dbają o sprzedaż produktów w różnych częściach świata. My nie mamy nawet do kogo się zgłosić. Są jakieś przedstawicielstwa przy ambasadach, ale piją tam kawę i nie są zainteresowani jakimiś pętaćkami, którzy zakłócają im spokój. Poza tym banki. Tam banki nie są po to, żeby się rozwijać kosztem innych, ale przede wszystkim mają wspierać firmy i nie doprowadzać je do bankructw. (...)

- Podobno gospodarka przyspiesza, czyli poziom biedy chyba się zmniejsza?

- Bieda się nie zmniejsza. Analizuję ją na bieżąco. Jest to moje naukowe zainteresowanie. Gorzów umiera. Czy rządząca grupa polityczna nie może się zastanowić, dlaczego tak się dzieje. Wyodrębnić czynniki, które to powodują. Może to wina jednego z nich a może kilku. Gospodarka to system i wystarczy, że zepsuje się jeden trybik. Po nim posypią się następne, ale naprawę trzeba zacząć od tego pierwszego. Pewnie nie wiedzą, który w gospodarce jest pierwszy. Pierwszym jest handel, który decyduje o obrocie pieniądza. Pieniądź ma krążyć, a nie wypływać. Handel powoduje zapotrzebowanie na produkcję. Nie ma sklepów, to po co produkcja. Produkcja wymaga instytucji naukowych itd. Jak to wszystko robisz, to ktoś musi dać pieniądze. Bank, ale swój, nie obcy, który cię zlicytuje, bo mu nie zależy, aby się udało, bo uderzasz w ograniczone firmy przez niego finansowane.

- Winny jest dopływ obcego kapitału?

- Jak ktoś mówi, że nas dorżnęły obce kapitały, to się myli. Nas dorżnęła głupota naszych polityków. Wszędzie się chroni swoich obywateli i krzyczy głośno, że dzieje się krzywda.

- Może jest zbyt wiele hipermarketów?

- Gdy wchodzi hipermarket, to mały sklep zaczyna mieć kłopoty. Właściciel obniża koszty i stawia żonę za ladą i jeszcze jakiś czas próbuje się utrzymać. Zwykle nie zna praw ekonomii globalnej i jeszcze się łudzi. Za jakiś czas zauważy, że się nie utrzyma i zwalnia ostatniego pracownika. W końcu, gdy żywność zaczyna się psuć, dochodzi do wniosku, że musi wprowadzić alkohol, bo ludzie piją i może to go uratuje.

- O czym świadczy fakt, że księgarnię trzeba dobrze poszukać, a wódkę można kupić na każdej niemal ulicy?

- Ludzie w Polsce nie piją, a chleją. W Gorzowie jest ponad 400 punktów sprzedaży alkoholu i chyba z 250 z mocnymi alkoholami. To jest poniżenie społeczeństwa. W klasach przedmaturalnych 80% uczniów pije alkohol, z tego co najmniej 10% zostanie alkoholikami. Ludzie nie mają nadziei na lepszy byt, ale parę złotych na piwo znajdują. Jest to patologiczny model polskiej gospodarki, z której nie da się wykręcać poprawy socjalnej dla społeczeństwa. Jak nic się nie zmienia, to bieda będzie coraz większa, a na pewno coraz drastyczniejsza. Coraz więcej rodzi się dzieci z zespołem alkoholowym, niedorozwojem i innymi wadami. Później narasta przestępczość, powstają domy publiczne, agencje towarzyskie.

- Z tymi agencjami to chyba przesada?

- To żadna przesada. Jak byłem w Szwecji, dowiedziałem się, że w Gorzowie produkuje się najwięcej filmów pornograficznych, do tego z dziećmi. Zatrzęsło mną i spytałem, skąd o tym wiedzą. Usłyszałem, że informuje o tym miejscowa policja. Ktoś powie, że Wiernicki to katastrofista i pokazuje model upadającego społeczeństwa. Chciałbym, aby ktoś taki pokazał inny, optymistyczny model. Jak ktoś ma rację, to zmienię poglądy.

czytaj

cała rozmowa na
www.echogorzowa.pl

r e k l a m a



Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki w Gorzowie Wielkopolskim

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

TWOJE ZDROWIE - TWÓJ SZPITAL

MOTO KORD FIRMA MOTORYZACYJNA

SKLEP MOTORYZACYJNY

części zamienne, oleje,
akcesoria do wszystkich
marek samochodów

AUTO SERWIS

naprawy mechaniczne
i elektromechaniczne
blacharstwo i lakiernictwo

NAPRAWY

kompleksowe przygotowanie
do rejestracji
wymiana opon



66-400 Gorzów Wlkp.
ul. Marcinkowskiego 14 c
(koło pętli autobusowej)
tel. 095 729 05 25
0 602 154 826

ZAPRASZAMY!

Karczma pod Łosiem na Farmie Wawrzynica

po rewolucji Magdy Gessler ...

**aromatyczne spotkania
w pięknych okolicznościach przyrody:
rodzinne, towarzyskie i firmowe**

czynna: wtorek - niedziela 12.00- 21.00

tel. 695 926 411

mail: karczmapodlosiem.pl

Gorzów Wlkp. - Wawrów
Osiedle Bermudy



Barwy samotności starego malarza według Bogdana Kunickiego

„Po indywidualnościach powstaje pustka nie dająca się zapełnić naprawdę, przechodzą one do mitologii środowisk, stają się ich symbolami. Dla gorzówian: Zdzisław Morawski, dla fotografików - Waldemar Kućko, dla kręgu plastycznego - Andrzej Gordon. Niepowtarzalnością jednak przebił wszystkich Jan Korcz

Tak pisał przed laty prof. Bogdan Kunicki o mistrzu Janie Korczu, którego 110 urodziny obchodzimy w tym roku, w reportażu opublikowanym w książce „Barwy tęczy”. Oto fragmenty tego reportażu.

Barwy samotności

- Więc chce pan, abym wszystko opowiedział od początku? O życiu moim i o moim malarstwie? Umie pan chociaż pisać o życiu? A na sztuce pan się zna? Bo ja już niejednego spod progu wyrzuciłem, jak tylko sensacji tutaj szukał.

Pukając do drzwi Jana Korcza, przygotowany byłem na dużo gorsze powitanie. Tyle anegdot słyszałem, tyle przedziwnych opowieści o rozwikłanym charakterze, bezkompromisowej złośliwości, przed którą nic nie chroniło: ani powaga wieku, ani wysokość urzędu, ani nawet przyjazne kontakty. Nie oszczędzał nikogo, rzucał się na ludzi z pazurami gorzkich słów i chyba jeden tylko Zdzisław Morawski mógł liczyć na Janową pobłażliwość. Jego nie tykał. Przynajmniej w oczy. Nie taki Jasio straszny... - pomyślałem wtedy - uznając, że mistrz jest w miłym humorze, a ja dostałem niedopowiedziane przyzwolenie na rozmowę.

- Jeśli się pan nie zna, to zaraz mu wytłumaczę. Istnieje sztuka i sztuka mięsa.

Sławetne, ulubione powiedzonko Korcza. W mało wyszukanej formie, lecz z jubilerską precyzją wyrażało przyziemne związki apollińskich snów z pospolitą codziennością. Mędracy starożytności mawiali napuszeni: „primum vivere, deinde philosophari”. Aby człowiek mógł się oddawać rozkoszom swobodnego myślenia czy estetycznej ekstazie, musi wprawdzie żyć. Mieć jako tako wypchany żołądek. To samo, tyle że w swojskiej postaci usłyszałem teraz. Wypowiadała je osoba, w której życiu sztuka i mięso przez większość lat patrzyły na się spode łba.

- Co ja zresztą będę panu kłamał. Pan się na tym lepiej zna ode mnie. Bo dzisiaj wszyscy na malarstwie się znają, rozprawiają uczenie. Tylko głupio. Przyjdzie taki na wystawę, na obrazy z ukosa popatrzy i, mówię panu, wychodzi tak samo ubogi i śmieszny, jak wchodził. A potem wymądrza się w gazecie. Każdy się na sztuce zna, tylko ja nie. Po co im Korcz? Żeby mówił, co o nich naprawdę myśli? Co są naprawdę warci?

Jan Korcz był w Gorzowie absolutnym autorytetem w sprawach sztuki, arbitrem najwyższym, ba - wyrocznią. Bo przez długi okres artystą praktycznie jedynym: Mietek Rzeszewski przyjechał tutaj jakieś dziesięć lat później i z tej pozycji nie mógł już mistrza wysadzić. Jasiowe wyroki - krótkie i szorstkie, zawsze natomiast bezkompromisowe, złośliwe - nie podlegały apelacji. Nie widział potrzeby opierania ich na racjonalnych podstawach - bo i po co? - ani merytorycznego uzasadniania ocen - bo i przed kim? Ferował je z dziecinną łatwością, a repertuar miał raczej dość ubogi - knot, szajs, szmira, kicz. Z czasem przestano do nich przywiązywać wagę, uważając, iż płyną raczej ze zgryźliwości człowieka rozgorzconego niż z rzeczowego osądu wedle kryteriów estetycznych. Nie pamiętam, aby Jasiowi kiedykolwiek coś się szczerze, bezwarunkowo podobało, aby cokolwiek otwarcie pochwalił. Kiedy pojawił się legion młodych plastyków, Korcza monopol sądzenia i monopol na nieomylną bezpowrotnie upadł. Przeżywał to mocno i wobec przyszłości starał się trzymać dystans, z satysfakcją pastwiąc się nad każdą artystyczną wpadką młodzieńca, co to wszystkie rozumy malarskie pozjadał. Dzielił go od nich nie tyle wiek, bo ten dystans Jan nader swobodnie zacierał, ile co najmniej pokolenie doświadczeń i eksperymentów plastycznych oraz uwielbienie dla niemodnych już konwencji malarskich. Różniła przede wszystkim jednak postawa wobec Muz i całkowite, niewiarygodne wprost oddanie sztuce. W pierwszych, wręcz wybornych dla plastyków latach 70. i 80., kiedy inni dorabiali się samo-

Tej, niedościgłej dla pozostałych gorzowskich artystów zdolności do wyrzeczeń, zazdrośczone mu po cichu bardziej chyba niż talentu

chodów i eleganckich mieszkań, Jasiu zazwyczaj w portfelu znajdował podszewkę. Nigdy nie podejmował robót komercyjnych, nawet z konieczności, nawet po to, by przez czas jakiś spokojnie tworzyć. On jeden miał takie, dziś zgoła anachroniczne, poczucie artystycznego posłannictwa i przekonanie, iż sztuka wymaga poświęceń: trochę sekundował mu pod tym względem Andrzej



Jan Korcz

Gordon. Dlatego żył skromnie - a, bywało, wręcz ubogo - jakby powielając niegdysiejsze mity, iż bieda bywa stanem naturalnym artysty. Tej, niedościgłej dla pozostałych gorzowskich artystów zdolności do wyrzeczeń zazdrośczone mu po cichu bardziej chyba niż talentu.

Jan Korcz bardzo był rozżalony na miasto, w którym spędził blisko 40 lat. Dlaczego wybrał właśnie Gorzów? Mówił, że przez przypadek. Inni, gdyby ich ktoś zechciał spytać, w sumy historii dąć by poczęli, o nakazie chwili i patriotycznych obowiązkach gadać. O tym, jak ojczyzna wzywała, by ziemię doszczętnie wyludnione Polakami zapłodnić. Tak by prawili, bo uchodzić za pioniera w dobrym było wtedy tonie. Szczębiotem orderów, co im za zasługi a także za samo gadanie piersi pozłócili, i gładką mową uszy pieczętując.

Korcz orderów nie miał, mógł więc rzec prosto:

- Przez przypadek. Pociąg zatrzymał się w Witnicy, dalej jechać nie mógł, więc wysiadłem, kolejarza o miasto najbliższe zapytałem i wróciłem do Gorzowa. Potem zgorzowałem.

Nie potrafił przymilnie bając, dlaczego tutaj został. Może porywał go optymizm, którym naładowana była wówczas atmosfera? Może wzruszyły go te wychudzone długimi peregrynacjami kozy, co w centrum Gorzowa, wśród

pokaleczonych domów, chwasty wyskubywały, czując kres powojennego błakania? Mówił, że tworzyć można wszędzie i nie trzeba świata zdeptywać, aby być dobrym malarzem.

- Prawda - potakuję, wiedząc, jak Jan sprzeciwu nie znosi. - Ale artyście takie miasto kiepskie daje widoki. Wystawy są objawieniem (nie dlatego, że tak wspinałem, ale że rzadkie), publiczność na obrazy patrzy wzrokiem ślepcy, krytyk tu nie zagląda. Czasem, kiedy po drodze z Poznania do Szczecina w Gorzowie wysiąść musi, to nie dla kontemplacji dzieł prowincjonalnych malarzy, ile dla smakowania wystroju wyszynków. Nawet odgłosy rozederzanych artystycznie metropolii rzadko tu docierają i słabo je słyszą. Zaiste - wtrącam - bardzo to kiepski dla artysty interes.

(...) Korcz nie miał takiego dylematu, gdy do Gorzowa w 1947 roku przyjeżdżał, bo tutaj niczego nie było. I nigdy emigracyjnej skłonności nie zdradzał, nie zamierzał stąd uciekać, inne bowiem miał ambicje i inne sobie stawiał cele. A te niełatwo urzeczywistnić w ośrodku oddalonym od centrów kultury, w mieście o nikomej zdolności promocyjnej, pozbawionym krytyki, wzorotwórczych autorytetów, mediów wprowadzających artystę poza regionalny obieg. Później Jasio na wszystkich do znudzenia narzekał, na wszystko wokół psioczył. Nigdy jednak na to, że Gorzów jego talent krępuje, że uniemożliwia zrobienie kariery, na jaką uzdolnieniami i niebawyma praco-

witością naprawdę zasługiwał. (...)

A miasto rzadko odwzajemniało mu ciepło. Ot, po prostu, magistrat kupił czasem parę obrazów, czasami lichą zapomogę kapnął, ale klucze do mieszkania dał dopiero po wielu, wielu latach. Zimował więc Jan u znajomych, po bursach, nawet w szpitalu. I czekał na pracownię. Ówczym wiekiem czekał. Nie zaznał dostatku, choć potrzeby ciała miał prawie ascetyczne. Odkąd zrezygnował z nauczycielskiej posady, by swemu powołaniu oddać się bez opamiętania, notorycznie brakowało mu pieniędzy. Rozpamiętywał wtedy dni pełne upokorzeń, wiedząc, że nazajutrz nic go lepszego nie czeka. Wtedy też rozpamiętywał zaczął o sztuce mięsa.

Zawsze trudno było wyżyć z obrazów. Zwłaszcza tutaj. Obdarowywał przeto znajomych, sprzedawał „po cenie surowca”, byle tylko mieć na płótno, farby, pędzle, byle móc malować. Kiedy wreszcie dostał rentę zasłużonego dla Polski Ludowej, stał się niezależny finansowo. A zasługi miał nie tylko artystyczne. Na jakąś polityczną galę namalował kiedyś w pośpiechu ogromny portret Stalina modną wtedy techniką „wciarki”. Wcierał zaś z taką pasją i entuzjazmem, że nazajutrz, tuż przed uroczystością okazało się, że farby rozpuściły liche płótno, wiatr dołożył swoje i z generalissimusa pozostały nędzne szczątki, groźnie powiewające nad Janową głową. Nie wiedzieć czemu, sabotażyście darowano.

Ale lata walki o miejsce w Gorzowie, o prawo do artystycznej obecności nie zatraciły się bez śladu. Słyszało się, że Korcz był cierpki. Rzeczywiście. Ale nie o cierpkości mówić trzeba, gdy człowiek latami pozostaje bez własnego kąta, bez serdeczności wokół, pozbawiony szczerzego uznania, na które był niesłychanie łasy, kryjąc naturalną słabość pod maską nonszalancką. Nie o cierpkości wtedy mówić, a raczej o cierpliwości. I o odwadze oszukanego przez ukochane miasto, o którym powie z przekąsem - a może z rozrzewnieniem, co sięga młodzieńczych wojaży to powie - że jest podobne do Paryża. I do Rzymu na siedmiu wzgórzach. Niektórzy szydy Janowe brali za dobrą monetę.

W tym dużym, na poły nowoczesnym, pełnym ludzi mieście Jan czuł się samotny. To chyba uczyniło go zgryźliwym, drażliwym, zawziętym broniącym niezyciowych racji. Zadecydowało o malarskiej osobowości, o

wierności wobec niemodnej szkoły, z której wyrósł. Samotność. Najdokuczliwsza z dokuczliwych pasji. Korcz niechętnie obcował z ludźmi kultury. Albo to ja jestem kulturalny - pomyślał - skoro rybę jem nożem i widzę, że nie jest cieniem? Mówią tutaj, że jestem samotny. A czyja wyglądam na samotnego? Brody nie mam, długie włosy nie noszę, czasami nawet białą koszulę założę...

Nużyła go atmosfera emigracyjna, ple-ple: dyskusje, przeżuwające te same myślenie-filozoficzne sporów w złożonej konstytucji życia. Nużyła atmosfera porywająca innych. Ożywał się dopiero na wystawach. Stawał wtedy pośrodku ręką w kieszeni sztruksowej rękawicy, z kpiącym-pobłażliwym grymasem na ustach i mówił. I palczywie, nierówno, pianissimo, z krzykiem mieszając. Słuchał go w napięciu, trochę ze szacunkiem, kogo tym razem napadł. Napadał najczęściej na urzędników, choć nikt nie mógł się czuć bezpieczny. (...)

Zastanawiałem się, dlaczego ten wrażliwy, na swój sposób dobry i mądry człowiek - częściej faktycznie chimeryczny, zwyczajnie szorstki, wręcz chropowaty, rzadko gładki w słowach - tak mijał wokół siebie osób roznamiętnionych, a tak wielu nieprzejmowanych. I myślę sobie, żeśmy przyzwyczaili się do bardzo różnych typów człowieka - do uczciwych, lojalnych, szlachetnych, do hien, krytów, łalusiów, prostaków. W tym, czego po każdym oczekiwaliśmy. Najmniej przywykliśmy natomiast do charakterów skomplikowanych, rozkojarzonych emocjonalnie i tak impulsywnie szczerych, że aż bolesnych. Takich, co w garnąc potrafią gorzkość swego wnętrza, co innych racji poza własnymi myślami nie znają.



Pomnik Jana Korcza

nistrza

zowskiej kultury taką niepowtarzalną osobowością był

lubimy być zaskakiwani. Trzeba nam słów pięknych i grzecznych, złą prawdę kryjących głęboko. Korcz był odmienny i jego reakcje były nieobliczalne. Nie potrafił gorczy woalką uprzejmości osłaniać. Zawsze stanowiło nie wiadomą, czy widz zachwycający się jego obrazem ujrzy na twarzy artysty zadowolenie, czy też usłyszy rubaszenie szczerze: „pan i tak gównio się na tym zna!” Ludzie nie chcą takich prawd.

Mimo żalu, jaki do miasta żywił, mimo rozmaitych pogroźek, Jasiu nigdy nie skąpił mu dobra. Zebrał kilku utalentowanych młodzieńców, by w służbie Muz terminowali. Malarstwa uczył ich od początku - od układania rąk, od historii i teorii sztuki, jak w normalnej akademii ich uczył. Bo to właśnie była sławetna „Akademia pana Jana”. Mozolna, bezinteresowna praca. I niewdzięczna. Skarżył mi się, że chłopcy rwą się do wystaw, chcą katalogów, rozgłosu. Są młodzi, są więc niecierpliwi. Cięży im mistrzowska ręka, na ziemię sprowadzająca rozbudzone ambicje. Czasem któryś odchodził, błąkał się jakiś czas samotnie i skruszony wracał. Jan przyjmował go z taką samą radością, z jakim smutkiem żegnał.

Nie chciał z nich czynić artystów. Talenty, jeśli takie są, zawsze zdążą się objawić: tę prawdę mistrza potwierdził później Juliusz Piechocki. Pragnął ich wtajemniczyć w zawili język plastyki, wychować na świadomych, autentycznych odbiorców. Niewiele zna ów język, choć wielu udaje. A rozumiem z tego dokładnie tyle - złożył się Korcz - ile z mowy leśnych ptaków. Żmudnie odrabiał więc to, co zaniedbała szkoła, czego nie dopilnowali rodzice. W zamian otrzymywał często pospolicie chamskie plotki. (...)

Taki był, z grubsza biorąc, Jan Korcz, którego odwiedziłem pewnego styczniowego popołudnia A.D. 1973. Spotykaliśmy się potem wielokrotnie i stale odkrywałem w artyście coś nowego. W jego trudnym towarzystwie nie sposób było się nudzić. Przeglądając dziś - 20 lat później - poźółkle notatki z tamtego spotkania, ciągle słyszę sceptyczne seplenienie Jana: A na sztuce pan się zna?

Są ludzie szczęśliwi, którzy w historii pozostawiają ślad trwały - swe dzieła. Ale są również tacy, których wkładem nie mniejszym jest artystyczna i intelektualna obecność, którzy swe ambicje promieniują na otoczenie, rozbudzają uśpione aspiracje innych, powstrzymują zwątpienia i przydają nowych zachęt do pracy. Wraz z ich odejściem, odchodzi częśćka nas samych - naszej codzienności spędzanej na dyskusjach raz doniosłych, innym razem błahych, na przyjacielskich złościach i szyderstwach, na banalnych pogawędkach. Ważkości owej ulotnej obecności nikt żadnym instrumentem nie zmierzy, nigdy jej znaczenia precyzyjnie nie ustali, bowiem bogactwa intelektualnych kontaktów mnożą się i rozkwitają dopiero we wnętrzu drugiego człowieka. Po indywidualnościach powstaje pustka nie dająca się zapełnić na prawdę, przechodzą one do mitologii środowisk, stają się ich symbolami. Dla gorzowskiej kultury taką niepowtarzalną osobowością był Zdzisław Morawski, dla fotografików - Waldemar Kućko, dla kręgu plastycznego - Andrzej Gordon. Niepowtarzalnością jednak przebiegał wszystkich Jan Korcz.

BOGDAN J. KUNICKI

„W przestrzeni tęczy”, Agencja Dejamir, 1996r.



Bauer - ikona starych dobrych czasów?

Zenon Bauer zmarł 23 grudnia 2012 r. w wieku 99 lat. Właśnie minęła druga rocznica jego śmierci. Kim był? Gorzowianinem, który jak mało kto, zasłużył na godne upamiętnienie w naszym mieście!

Na klatce schodowej mego domu rodzinnego, który nie był żadną kamienicą, lecz przedwojenna willą, podlegającą jednak wszelkim reżimom gospodarki kwaterekowej, przez długie lata wisiło duże obwieszczenie z regulaminem, poźółkle, ale trwałe, bo wydrukowane na jakimś grubszym papierze. Codziennie więc, idąc do szkoły i wracając, miałem na wysokości wzroku dwa nazwiska: przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej inż. **Zenon Bauer** i sekretarz Prezydium MRN **Franciszek Klessa**. Tak wyglądały początki mojej edukacji regionalnej i samorządowej.

F. Klessa (1921-2001), który na ratyszku spędził więcej czasu (1950-1953 i 1957-1975) niż Bauer, dzieląc z nim okres politycznej nienawiści, poszedł jednak w zapomnienie, natomiast Bauer, choć działał w niewłaściwym czasie, stał się ikoną miasta, wzorem roztropnego gospodarza i troskliwego ojca miasta, zwłaszcza w czasach, gdy lokatorzy magistratu zmieniali się jak rękawiczki. Ukoronowaniem tej nowej, niezwyklej kariery Bauera było nadanie mu honorowego obywatelstwa miasta, chyba najbardziej zasłużonego od wszystkich innych podobnie uhonorowanych, choć i temu aktowi towarzyszył zgrzyt ze strony tych, którzy wyżej od zasług stawiali czasy, w których musiał działać.

Znałem Bauera, on w końcu poznał i mnie, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy poznaliśmy się osobiście. Może jedna przypadkowa rozmowa, może jeden telefon. I sporo korespondencji, którą dziś przechowuję jako wyjątkową pamiątkę. Pierwszy taki list, który otrzymałem co najmniej przed ćwierćwieczem, był spisem dokonań Przewodniczącego, który w ten sposób chciał mi dać do ręki bryk, chyba na wypadek pisanego nekrologu. Nikt wtedy nie przypuszczał, że na ten moment przyjdzie czekać wyjątkowo długo. Chyba żaden z ojców miasta nie żył tak długo...

Z tego spisu dowiedziałem się, ku swojemu zaskoczeniu, że to Bauer wybudował drugą nitkę ul. Armii Czerwonej, czyli Konstytucji 3 Maja. Ku zaskoczeniu, bo nawet dla mnie ulica ta był dwujezdnio- „od zawsze”. Był to zresztą fragment większej



Zenon Bauer podczas spotkania u kolejarzy (z prawej). Obok Henryk Land (1928-2004), ówczesny kierownik Wydziału Organizacyjno-Prawnego PMRN (1965-1972). Dokument odbiera Stanisław Gajewski (1919-1989), kolejarz-pionier, działacz związkowy, sportowy i kultury, jeden z tych, którzy bardzo się chcieli...

całości, na którą złożyły przedłużenie ul. Chrobrego do Warty i poszerzenie mostu, całość przedsięwzięcia rozbiła się jednak o teren „Ursusa”, wówczas prosperującego znakomicie, który był ani „do przeskoczenia”, a zwłaszcza „do przebicia”. Zresztą już na moście przejechał się sam Bauer, wyczerpując cierpliwość Zielonej Góry. Koniec tej inwestycji (1967-1969) zbiegł się w czasie z jego odwołaniem z funkcji przewodniczącego, nie przypominam sobie zresztą żadnego oficjalnego otwarcia mostu, chyba nastąpiło to już „z marszu”.

Bauer, stary przedwojenny samorządowiec, choć wtedy wcale nie tak stary, umiał w swych rozgrywkach z Zieloną Górą wykorzystywać znakomicie tak bezwolny organ, jakim z perspektywy wydaje się ówczesna Miejska Rada Narodowa postrzegana li tylko jako maszynka do głosowania. Wszystkie kontrowersyjne sprawy przepuszczał przez MRN, by z uchwałą w ręku tłumaczyć się w Zielonej Górze, że „wiecie-rozumiecie”, ale ja nie mogę działać wbrew radnym. I na to doktrynalne stwierdzenie w czasach „władzy ludu” nie było argumentu. Tak było też podczas słynnego buntu radnych w 1961, kiedy nie przyjęto narzuconego budżetu, zrywając sesję MRN. Wprawdzie budżet ten w końcu uchwalono, z aneksem, który nigdy nie został zrealizowany, ale sprawa odbiła się głośnym echem w kraju i mocno podbudowała gorzowian.

Mam u siebie dokument wyjątkowy, kopię wniosku prezydenta **Zygryda Kujawskiego** (1909-1967) z 1948 r. do Ministerstwa Ziem Odzys-

kanych w sprawie przyznania „dodatku dla wysokowykwalifikowanych” dla Bauera, który był wtedy od roku inspektorem miejskim. „Sam charakter czynności służbowych wskazuje na to, że stanowisko to nie może być obsadzone przez osobę o przeciętnych kwalifikacjach zawodowych, tym bardziej, że miasto Gorzów Wlkp. spełnia od 1-szego kwietnia 1948 r. wszystkie funkcje rządowej władzy administracji ogólnej I-szej instancji, - pisał gospodarz miasta w 1947-1949. To właśnie Bauer, porządkując administrację miasta, spowodował po dwóch latach odzyskanie przez Gorzów praw powiatu miejskiego, czyli grodzkiego. Dodajmy złośliwie, że Zielona Góra takie prawa uzyskała dopiero w 1950 r., „z automatu”, już jako miasto wojewódzkie...

Lista dokonań Bauera jest długa, ale żadne z nich nie byłoby czymś wyjątkowym, gdyby nie czas, w którym wszystko, co normalne, jawiło się wyjątkowe i spektakularne. Swoje rządy na ratuszu Bauer zaczął od wielkich porządków w mieście, a zwłaszcza wywózki gruzów. Bo to, co nie zdążono uprzątnąć w czasach pionierskiego entuzjazmu, pozamiatało później i poprzykrywano, udając, że sprawy nie ma. Natychmiast też zabrał się za wysychające krany, sprowadzając już w drugim miesiącu rządzenia dwójce specjalistów z politechniki w Gliwicach - **Zbigniewa Hawelkę** (1926-2012) i **Halinę Sporną** (1926-2011), by zadbać o wodę dla gorzowian, i dbali przez następne 30 lat.

To właśnie na kadencję Bauera przypada czas zabudowy, bo raczej - nie odbudowy, śródmieścia, a także pierwszych gorzowskich

osiedli i pierwszych gorzowskich wieżowców,

to za Bauera powstał teatr państwowy w mieście, który zresztą za jego czasów święcił swe największe triumfy. Sprowadzał do miasta artystów, dla których kazał budować pracownie. To z początkami rządów Bauera kojarzą się trzy doroczne, legendarne już wystawy gospodarcze (1958-1960), organizowane przez niezwykłego społecznika, mec. **Pawła Dudę** (1917-1976). To Bauer budował zręby szkolnictwa wyższego w Gorzowie, powołując punkty konsultacyjne uczelni szczecińskich. To za Bauera powstał społeczny sumptem „Lodostil”, 17. w kraju sztuczne lodowisko. W końcu to Bauer urządził nowy cmentarz przy Żwirowej, gdzie zadbał też o niewielki kącik dla siebie i bliskich, tuż przy wschodniej ścianie kaplicy cmentarnej. Spoczął więc obok żony Władysławy (1918-1997) i zięcia **Adama Gębki** (1938-2000).

Nie wszystkie plany Bauera zostały zrealizowane, nie wszystkie zdążył zakończyć. Wiele z tego, co zaczął lub załatwił dla miasta, otwierali już następcy. Nie mam pod ręką wspomnianego spisu dokonań, który dostarczył mi sam Bauer, zawieruszyl się podczas licznych redakcyjnych przeprowadzek. Sam zresztą zaczynałem już wątpić, czy kiedykolwiek będę miał okazję wykorzystać ten wykaz w nekrologu. Bauer wydawał się wieczny, niewiel zabrakło mu przecież do 100 lat...

Rządził Gorzowem 11 lat i 24 dni. To nijak ma się do rządów **Wilhelma Meydama** (35 lat) czy **Otona Gerloffia** (28), ale na tle powojennej karuzeli wydawało się rekordem nie do pobicia. Dokonał tego dopiero prezydent Tadeusz Jędrzejczak, który rządził dłużej. Ale i tak Bauer pozostaje wzorem niedoścignionym. Stał się ikoną Gorzowa wyrażającą tęsknotę za starymi, dobrymi czasami, które nie dla wszystkich były dobre, ale wielu zapadły w serca i pamięć. Były to czasy, gdy ludziom chciało się coś robić, osiągać, działać na rzecz miasta i otoczenia, nierzadko na przekór czasom i „województwu”, razem, bo przeciwnik był na zewnątrz. Bauer potrafił znakomicie ten entuzjazm dyskutować i podsycać.

JERZY ZYSNARSKI

Na Junaku, z Mazurem i Merlisem

Stanisław Lisowski urodził się w 1929 roku w Wilnie i nie miał wiele czasu, aby bliżej zetknąć się z motoryzacją.

Kiedy skończył pierwszą dekadę życia, wybuchła wojna. Były konie, polowania i kontakty z partyzantami. Później trzeba było opuścić ukocone miasto i ruszyć na koniec świata, z kresów wschodnich na zachodnie krańce nowej Rzeczypospolitej, tym razem ludowej.

Wszystko zaczęło się od motocykla Diamant, odnalezionego gdzieś przy dzisiejszej ul. Młyńskiej. Pod koniec lat 40. miał już prawo jazdy i został członkiem klubu Unia, który niebawem przekształcił się w ZKS Stal. Czasy były dziwne. Corocznie motocykle były święcone pod gorzowską katedrą a później brały udział w zawodach pod socjalistycznymi hasłami. W nietypowy sposób można też było zostać właścicielem motocykla. Poszukiwania nowej maszyny doprowadziły do zdezelowanych Harley Davidsonów porzuconych przez Armię Czerwoną. Amerykanie dostarczali je, podobnie jak Willysy, wraz z różnorodnym uzbrojeniem w ramach programu Lend Lease.

Lekcja Mielocha

Z kilku motocykli złożył jeden, na którym wyruszył na rajdowe szlaki. Warto przypomnieć, że Harley-Davidson WLA zupełnie nie nadawał się do jazdy w terenie. Długa i ciężka maszyna stworzona była na asfaltowe drogi, a stała się motocyklem wojskowym dlatego, że w ówczesnym USA nie produkowano niczego bardziej poręcznego. Jazda Harleyem po rajdowych bezdrożach wymagała nie lada kunsztu i była doskonałą nauką dla zawodników rajdowych i crossowych. Czerwony Harley i jego kierowca stawali się coraz sławniejsi. Stanisław Lisowski stał na podium obok mistrzów znanych jeszcze przed wojną. Podczas jednych z zawodów w Poznaniu wytopił mu się tłok. Dojechał na jednym cylindrze, ale o dobrym miejscu nie było mowy.

- Po wyścigu zawołał mnie Jerzy Mieloch i spytał, czemu

tak się stało. Wytopił się tłok - odparłem. W Harleyu! To nie możliwe. Pokaż świecę. Odkręciłem świecę i zaniósłem pokazać mistrzowi. Wziął ją do ręki, spojrzał i pokiwał głową. Po chwili wyciągnął swoją świecę zapłonową. Popatrzył - powiedział - zapamiętaj na całe życie, jak ma wyglądać świeca. Ta lekcja wielokrotnie mi się w życiu przydawała - wspomina pan Stanisław.

Nazwisko Mieloch jeszcze przed wojną przyciągało na tory i trasy zawodów setki kibiców. Poznański zawodnik zdobywał mistrzowskie tytuły w wyścigach drogowych, trawiastych, crossach i rajdach jeszcze wiele lat po wojnie. Był również właścicielem ogrodnictwa i podobno wyhodował piękną odmianę czarnych róż.

Gdy u schyłku lat 50. rozpoczęto w Szczecinie produkcję Junaka, starano się jak najlepiej przygotować maszynę do sportu. Po jednym ze szczecińskich motocrossów na torze nieopodal ówczesnej fabryki motocykli SFM zaproponowano młodemu zawodnikowi Stali przejazdkę nowym polskim czterosem po torze. Junak spodobał się panu Stanisławowi i niebawem serijna maszyna tej marki trafiła do gorzowskiego klubu. Została odchudzona o niemal 40 kg, a jej silnik wzmocniono, wykorzystując wiedzę mechaników drużyny żużlowej. Rozpoczęła się złota passa zwycięstw i rywalizacja z Franciszkiem Stachiewiczem, kierowcą który m.in. jest motocyklowym rekordzistą Polski w szybkości bezwzględnej. Rekord uzyskany na Junaka do dziś jest nie pobity.

- Po zawodach, w których Franek wygrał swoją klasę a ja byłem drugi, dowiedzieliśmy się, że zawodnicy startujący na brytyjskich motocyklach złożyli protest. Twierdzili, że to niemożliwe, iż nasze silniki mają pojemność 350 ccm. Trzeba było rozbierać silniki. W Junaku Franka widać było



Z prawdziwym Mazurem na Farmie Wawrzyńca

wysoki, naspawany tłok zwiększający stopień sprężania i typowe, dozwolone przeróbki. Wszystkie wymiary się zgadzały. Myśmiliśmy, że zrobili mały cyrk. Kolega Semperski trzymał troskliwie cylinder pod pachą. Tak jakby chciał coś ukryć. Sędziowie zmierzili średnicę tłoka i skok. Wszystko się zgadzało. Tłok był seryjny, nawet bez naspawanego denka. Bacznie analizowali cylinder. Też był w porządku. Uznali, że tajemnica niezwyklej mocy kryje się w głowicy cylindra, w której również nie znaleźli większych zmian. Później moim motocyklem interesowała się dyrekcja fabryki Junaka. Zaproponowano nawet nowy motocykl za głowicę. Odmówiłem, uzasadniając, iż motocykl należy nie do mnie a do klubu. Poza tym nie chciałem być nieuczciwy. Głowica nic by im nie dała. Cała tajemnica kryła się w fazach rozrządu i krzywkach. W końcu i tak dostali mój motocykl w zamian za fabryczną rajdówkę - opowiada pan Stanisław.

Na Junaku zdobył tytuł wicemistrza Polski. Była też Jawa na talon. Kierowcy przyzwyczajonemu do ciężkich czterosemowych maszyn niezbyt się podołała, ale również dostarczyła wielu przygód, emocji i sukcesów. Właśnie na Jawie wystartował w Rajdzie Tatrzańskim - imprezie ceniowej

niemal tak jak Six Days Trophy, czyli motocyklowa sześciodniówka. Na Rajdzie Tatrzańskim poznał olimpijczyka Stanisława Marusarza. Ta niezwykle ciężka, trzydniowa impreza wymagała żelaznej kondycji od ludzi i sprzętu. Zwykle zarówno trudne górskie bezdroża jak i pogoda nie sprzyjały zawodnikom. Jawa nie wytrzymała. Nastąpiło pęknięcie przedniego teleskopu i koło ustawiło się w najdziwniejszych płaszczyznach. Jazda stała się udręką, a na naprawę nie było co liczyć.

- Miałem dosyć. Zatrzymałem się i już wiedziałem, że tego rajdu nie skończę. Nie mam siły. Nagle zatrzymała się obok na rajdowej WFM córka twórcy polskiego motocrossu. Była uśmiechnięta i bardzo zadowolona z jazdy i pogody. Zamieniliśmy kilka słów, po czym ostro ruszyła, aby nie spóźnić się na punkt kontrolny. Pomyślałem, że jak baba może, to ja też. Przeszło zmęczenie i ruszyłem na trasę. Rajd skończyłem, ale na jakimś dalekim miejscu - wspomina Stanisław Lisowski.

Mazury i Ursusiki

Na początku lat 60. trzeba było zawiesić kask na kołku i zająć się pracą. Tym bardziej, że po pierwszej wyprodukowanej w Łabędach serii produkcji gąsienicowych traktorów Mazur DT 50 trafiła

do gorzowskiego Ursusa. Traktor miała stać się przebojem eksportowym i seria Mazurów pojechała do Brazylii. Za traktorami podążyli polscy fachowcy, aby prowadzić szkolenia dotyczące obsługi i rozwijać sieć serwisów. Nie zabrakło wśród nich pracownika działu kontroli jakości Stanisława Lisowskiego. W egzotycznej Brazylii spędził półtora roku. Od razu zauważył, że Mazury nie nadają się na ten rynek. Brazylijczycy byli przyzwyczajeni do niemal bezobsługowych i niezawodnych amerykańskich Caterpillarów. W Mazurze fatalnie rozwiązano układ rozrządu. Samosmarujące tuleje klawiatury zaworowej trzeba było wymieniać co 50 godzin pracy. Chwila zadumy nad silnikiem i od razu nasunął się pomysł. Wystarczyła rurka łącząca wyjście z bocznikowego filtra oleju z obudową klawiatury, aby problem przestał istnieć. Cała przeróbka kosztowała kilka dolarów.

Z drugą usterką było nieco gorzej. Podczas eksploatacji w Brazylii rozsypywały się skrzynie biegów. Polscy specjaliści mieli problem ze znalezieniem przyczyny. Stanisław Lisowski przypomniał sobie, że w trakcie testów w Gorzowie, podczas przygotowywania toru do motocrossu wjechał w dół i traktor stanął niemal pionowo. Wtedy obok włączonego pierwszego bie-

gu zakleszczyła się dwójka. Zdjął obudowę, cofnął koło zębate i było po problemie. Brazylijczycy zapewne dodawali gazu, co niszczyło cały mechanizm. Należało zastanowić się nad blokadą biegów, która dzisiaj jest standardem. Wtedy jednak był to problem. Polska centrala odpowiedziała, że w ciągu dwóch miesięcy rozważy możliwości. Rozważył, ale jeszcze nie zbuduje blokad. Tymczasem grunt na brazylijskim rynku dosłownie się palił. Pół żartem, pół serio zwrócono się do Stanisława. Po analizie mechanizmu zmiany biegów wpadł na pomysł drobnej modyfikacji prowadnic. Na szczęście w pobliżu był warsztat mechaniczny prowadzony przez Rosjanina, gdzie były niezbędne narzędzia, a i z porozumieniem się nie było problemu. Po kilku godzinach intensywnej pracy w wałkach pojawiły się wycięcia i gniazda, w których umieszczono kulki. Wieczorem blokada znalazła się w pokoju szefów, którzy patrzyli na nią z niedowierzaniem. Obecny przy tym inżynier z zakładów Cegielskiego wyciągnął dłoni i pogratulował. Po czym w nocy sporządził rysunki tego rozwiązania. Skrzynie stały się niezawodne.

W Brazylii również przydała się dawna lekcja Mielocha. Wraz z Mazurami trafiły za Ocean tzw. Ursusiki. Jednokółowe małe ciągniki Ursus C 308 przypominające do złudzenia Dzika produkowanego w gorzowskim Goma-dzie. W „Ursusikach” silniki odmawiały posłuszeństwa w brazylijskich upałach i wilgoci. Wystarczył rzut oka na świecę, aby zrozumieć, o co chodzi. Odpowiednia regulacja zapłonu usunęła problem.

W 1961 roku Stanisław Lisowski powrócił do kraju. W międzyczasie polskie centra-le handlowe zainteresowały się rynkiem egipskim. Zebrano ekipę, która ruszyła do kraju faraonów. Lisowski dołączył do niej niemal w ostatniej chwili. W tych cza-



Po wertepach i bezdrożach na Harleyach i...



A nagrodą za zwycięstwo była walizka



Konno i traktorem po brazylijskiej dżungli

przez całe życie

sach bowiem bardziej stawiano na specjalistów od propagandy niż mechaniki. Wśród wielu egipskich przegód i anegdot szczególnie wspomina zdarzenie związane z Junakiem. Obok ciągników usiłowano sprzedać egipskiej policji Junaki. Niestety, polskie motocykle nie wytrzymały upałów. Używane dotąd przez policjantów brytyjskie AJS ciągle jeździły a Junaki „padały” z powodu przegrzania już po kilku kilometrach. Szkoła Mielocha, świeca i już wszystko było jasne. Pan Stanisław zabrał się za regulację, po czym zaprosił szefa policji na przejażdżkę. Pędząc trasą testową, słyszał z tylnego siedelka okrzyki: slow, slow! Policjanci byli pod wielkim wrażeniem, a szef polskiej ekipy dopiero dowiedział się, że ma w ekipie doświadczonego zawodnika a do tego wicemistrza polski w Junaku.

Niestety, wszystko się kiedyś kończy. Trzeba było powrócić do polskiej prozy życia i zmierzyć się z rzeczywistością Peerelu. Szybko się okazało, że polski podbój światowych rynków również się skończył. W roku 1970 stanęła produkcja traktorów gąsienicowych, a znacznie wcześniej ciężkich motocykli. Prototypy nowych konstrukcji nie znalazły miejsca nawet w muzeach. Zgodnie z podziałem w ramach tzw. Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, produkować tak wymyślne urządzenia mógł jedynie Związek Radziecki. Człowiek, który w Brazylii i Egipcie walczył o renomę polskich produktów a do tego zetknął się z zupełnie inną rzeczywistością i stylem życia, nie mógł się czuć dobrze w realiach schyłku lat 60. Przy pierwszej okazji wziął życie we własne ręce i otworzył warsztat samochodowy. Podziw dla jakości produktów marki Mercedes sprawił, że zaczął specjalizować się w naprawach aut z gwiazdą na masce. Przez wiele lat właśnie u niego w podgorzowskiej Wysokiej był jedyny taki warsztat w Polsce.

Rajdy terenowe

Gdzieś pod koniec lat 80. stał się właścicielem radzieckiej amfibii MAW. Po wielu zabiegach powstał samochód, którym mógł pojechać na poznański zlot pod auspicjami fabryki w Antoninku. Tarpaniada nie spodobała mu się zbyt. Myślał o rajdach a nie zlotach. Zobaczył jednak, jak jeżdżą Willysy i zaczął roz-



Jazda Willysem też była przyjemna

glądać się za takim samochodem. Po kilku klatach zaczęły krążyć nieco żartobliwe plotki, że wszystkie polskie Willysy trafiły do Wysokiej.

- To była oczywiście nieprawda. Dużo tutaj trafiło, ale na pewno nie wszystkie - śmieje się pan Stanisław i zaczyna opowieść o poszukiwaniach ocalałych po dziejowych zawieruchach samochodów.

- Miałem swój sposób. Przyjeżdżali taksówkarze, aby naprawiać im lub zakładać silniki Mercedesa. Zdarzało się, że np. klientowi z Jeleniej Góry mówiłem, że słyszałem iż miejscowy nadleśniczy jeździ Willysem i chyba chce go sprzedać. Jak dojdzie do transakcji, to opłata za silnik będzie symboliczna. Po jakimś czasie taksówkarz informował mnie, że owszem jest Willyś, ale nie w Jeleniej Górze i jeździ nim weterynarz a nie nadleśniczy - opowiada z uśmiechem.

Samochody trzeba było odbudować i dostosować do rajdów. Początkowo był silnik Mercedesa a skrzynia biegów Willysa. Później powstał Merlis na ramie Mercedesa G, zwanego Gelendą. Silnik również pochodził z Mercedesa a wszystko zostało jeszcze odpowiednio wzmocnione. Całość przykryto nadwoziem przypominającym sylwetkę Willysa. Merlis słynął z niezawodności i nie szkodziły mu nawet kilkumetrowe skoki przy wielkich prędkościach. Kolejny i ostatni Merlis 3000 też miał ramę Gelendy, ale inny, mocniejszy silnik i szerzej rozstawione koła. Podziw dla konstrukcji Jeepa i Mercedesa przerodził się w samodzielną zbudowaną auto łączące najlepsze cechy tych marek. Korzenie tej fascynacji sięgają również pobytu w Brazylii.

- W Brazylii jeździłem wszystkim, co tam jeździ. Konno, samolotem, pociągiem, czasem trzeba było rąbać drzewa, aby jechać dalej. Były

też Willysy - wspomina gorzowski Mistrz.

Rzadką cechą była umiejętność przyciągania ludzi i zarażania ich własną pasją. W latach 80. rozpoczęły się rajdy według formuły wymyślonej przez Stanisława Lisowskiego. Wtedy też prezesem Automobilklubu Gorzowskiego był jego brat Janusz Lisowski. Dzięki rajdom terenowym organizacja przetrwała najcięższy okres przemian gospodarczych i ustrojowych. Na rajdy terenowe do Gorzowa przyjeżdżało około 100 załóg. Początkowo byli to Polacy, ale niebawem dołączyli Niemcy a nawet Czesi. Gorzowska ekipa wyruszająca sprzed warsztatu w Wysokiej na rajdy w inne miejsca Polski przypominała dużą kolumnę wojskową.

- Bywało, że rząd samochodów ciągnął się od wjazdu do warsztatu aż po widoczny na horyzoncie las. Gdy pierwsze auta ruszały często jeszcze np. domalowywano załadowane lawety - wspomina syn Andrzej Lisowski.

Z gorzowskim mistrzem trudno było wygrać i równie trudno pokonać było zespół z Gorzowa, nad którym bacznie czuwał. Większość załóg jechała samochodami z Wysokiej. Pan Stanisław opracowywał taktykę tak, aby punkty zdobywane w każdej z klas gwarantowały sukces. Nie szczędził przy tym energii, czasu i pieniędzy. W latach, kiedy wszędzie podupadały ze względów finansowych rajdy i wyścigi, Automobilklub Gorzowski wchodził w nową, złotą erę rajdów terenowych, która ciągle trwa. Stanisław Lisowski zakończył karierę zawodnika w połowie pierwszej dekady XXI wieku, przekazując kierownicę wnukowi Tomaszowi.

Stanisław Lisowski w minionym roku skończył 85 lat, co było powodem wielkiej fety zorganizowanej przez przyjaciół, wychowanków i sympatyków.

RYSZARD ROMANOWSKI

Do „Bartosza” na naleśniki z barszczykiem

- U nas to nawet niejadki zaczynają jeść - śmieje się współwłaścicielka „Bartosza”. Pierwsza i jedyna jak do tej pory w mieście naleśnikarnia cały czas cieszy się niesłabnącym powodzeniem.

- Przecież ten bar to całe moje życie - mówi Ania Zalewska i tłumaczy, że „Bartosza” jest tylko dwa lata od niej starszy. - Odkąd pamiętam, to się ciągało tam rodziców na naleśniki, potem w szkole się samemu latało, a i teraz bar jest zawsze fajną rezerwą, kiedy nie mam pomysłu na obiad - mówi.

A miały być tosty

„Bartosza” 35 lat temu, w 1989 r. otworzyły dwie wspólniczki **Teresa Jura i Wiesława Gąsiorek**. - Miałyśmy bardzo przychylnego dyrektora PSS, pana Romana Nowakowskiego, który nam wiele spraw na początku ułatwił. Choć powtarzał, że spółki rzadko przetrzymują próbę czasu. Udają się jedna na sto. Widać my tą setną byłyśmy. Bo spółka już ma 35 lat - mówi Wiesława Gąsiorek.

I opowiada, że w jej przypadku prowadzenie baru to była próba odejścia od zawodu, a z wykształcenia i zamiłowania jest technikiem architektem. Ale kiedy praca zaczęła jej zajmować dzień i noc, to postanowiła ją zmienić i tak zaczęła się przygoda z naleśnikami. Na początku były agentkami właśnie w PSS.

- To miał być bar krokietowy, bo taka akcja wówczas w Polsce była, stawianie na krokietki. My wymyśliłyśmy tosty. Na dzień otwarcia przygotowałyśmy też trochę naleśników. I kiedy przyszło wielkie otwarcie, okazało się, że tosty to nieporozumienie, bo klienci chcieli tylko naleśniki. Co było robić, trzeba było szybko przebrnąć - opowiada Wiesława Gąsiorek.

Klienci z całego świata

- Ile razy wracam na wycieczkę do domu, muszę tu

przyjść na naleśniki. Nawet moja włoska rodzina je lubi - opowiada Alicja Fabrizzi, która od ponad 20 lat mieszka w Rzymie, a do Polski przyjeżdża na wakacje kilka razy do roku. I tłumaczy, że jej ulubione to naleśniki z ruskim nadzieniem.

- Fakt, przyjeżdżają do nas klienci z całego świata i się zachwycają, że bar jest ciągle w tym samym miejscu, że tak samo wygląda, że ciągle smaki są takie same - potwierdza Wiesława Gąsiorek. I dodaje, że na naleśnika nadzianego różnymi przysmakami zachodzą też obcokrajowcy, którzy goszczą w mieście i chwalą. I jak się okazuje, potrafią natchnąć, jeśli chodzi o kolejne rodzaje faszerowanych przysmaków. Bo jak tłumaczy właścicielka, to między innymi z ich podszeptów powstały naleśniki nadziewane mięsem, a nawet rybą, bo jednym z hitów jest naleśnik z tuńczykiem, co prawda jest w formie krokietu, ale krokiet to też przecież jest naleśnik. Tyle, że zapieczony w panierce.

Ruskie były podejrzane

Obecnie do najczęściej zamawianych naleśników należą te z ruskim nadzieniem. - W karcie pojawiły się gdzieś tak na początku lat 90., wtedy zresztą zostaliśmy właścicielkami, bo do tej chwili byłyśmy tylko agentkami w PSS. Znalazłam gdzieś przepis właśnie na naleśniki faszerowane ziemniakami - opowiada Wiesława Gąsiorek. I jak się okazuje, klienci na dzień dobry do nowego przysmaku podeszli nader ostrożnie. Bo jak mówi jedna z właścicielek, nadzienie było na tyle nietypowe, że smakosze musieli się przełamywać. Ale jak się przełamali, to od razu stały się popularne. - Ostat-

nio na topie są naleśniki faszerowane szpinakiem. I co dziwne, nawet ludzie, którzy nie lubią szpinaku, u nas jakoś nie narzekają - opowiada pani Wiesława.

A niektórzy klienci dodają, że właśnie dla tego różnego nadzienia zaglądają do naleśnikarni. - Bo generalnie jesteśmy przyzwyczajeni tylko do naleśników z serem albo na słodko, z dżemem albo owocami. A tu proszę, z czym tylko się zamarzy. Bo i z mięsem, bo na słodko, bo z parówką, no w każdym razie jest w czym wybierać. Można nawet zjeść naleśnika z tuńczykiem - mówi Andrzej Czarkowski, bywalec, który najchętniej zamawia właśnie ruskie i tuńczykowe. I dodaje, że w okolicach Bożego Narodzenia wpada na te z farszem z kapusty i grzybów, a do tego zamawia czerwony barszczyk. - No i bywa, że świąteczne tak nie smakują, jak te tutaj - śmieje się znad talerza.

Bar jak dom babci

Od samego początku też nie zmienia się wystrój baru. Nikomu w Gorzowie raczej nie trzeba opisywać wyglądu. Warto tylko zaznaczyć, że w wystroju zmienia się tylko jedno. Przybywa starego fajansu na wysokich półkach. Przy aranżacji pomieszczenia pomógł Jerzy Gąsiorek, mąż pani Wiesławy, znany gorzowski artysta i wieloletni dyrektor kiedyś Biura Wystaw Artystycznych, dziś Miejskiego Ośrodka Sztuki. - A dlaczego miałby się zmieniać wystrój? Przecież domy naszych babć też się nie zmieniały, przez lata były takie same. No i my podobnie myślimy - mówi pani Wiesława.

I dodaje, że podobnie jak babcie, „Bartosza” stawia na jakość. Bo tu zawsze wszystko jest świeże i bardzo wysokiej jakości. No i do sukcesu przyczynia się też stała ekipa. Jedna z pracownic pracuje tu już 32 lata, inne mają po kilka lub kilkanaście lat stażu. I to też przekłada się na sukces popularnego miejsca. - Przychodzą do nas klienci i mówią, że choć starają się w domu przyrządzić podobne nadzienie, to im nie wychodzi. I wnuki ciągną ich do „Bartosza”. Ale i tak najfajniejsze są małe dzieci, które z prostotą deklarują, że takich dobrych naleśników nigdy nie jadły a przecież dzieci nie kłamią - mówi pani Wiesława.

RENATA OCHWAT



Bar jest ciągle w tym samym miejscu, te same są też smaki

fol. Renata Ochwat

...POD ROZWAGĘ •



Umiera dzielnica dzielnic!

Pytamy często o śródmieście naszego miasta, w którym umiera rodzinny handel.

W centrum prawie nie widać turystów, szczególnie zza Odry, jest brzydkie, niefunkcjonalne i turystom nieprzyjazne. Wyjątek stanowi tu bulwar wschodni, który jakby przez przypadek spełnił społeczne, ekonomiczne i turystyczne oczekiwania. Brakuje w śródmieściu miejsc parkingowych, a te nowoczesne i za ogromne pieniądze wybudowane przy Filharmonii zlokalizowano nikomu nie po drodze – ciągle puste. Nie zmodernizowano w centrum miasta handlowych ciągów pieszych, nie zadbało o dobry i prosty dojazd i o to, aby lokalizację handlu śródmiejskiego były równie atrakcyjne, jak galerie i hipermarkety. Wprowadzono wielkopowierzchniowe sklepy lecz lokalny handel nie dostał żadnego wsparcia. Na wszystko brakuje pieniędzy, wpływy do budżetu marne. Było do przewidzenia, że małe sklepy w zaniedbanym centrum upadną. Setki rodzin pozbawiono ich jedyne źródła utrzymania, w sytuacji katastrofalnego rynku pracy nie będą miały z czego żyć, młodzi po prostu masowo emigrują, bo nie znajdują godnego zatrudnienia i nie mogą wykazać się przedsiębiorczością na swoim. Mały rodzinny biznes ledwo co zaczął funkcjonować, a już kapitał międzynarodowy sprowadził go do stanu vegetacji i często do upadku. Gorzów poddano hipermarketyzacji. Lokalizacja każdego nowego hipermarketu zawsze oznacza to samo: totalne spustoszenie w rodzimej przedsiębiorczości, upadek handlu, a w ciągu kilku lat vegetacja lub masowe bankructwa. Tak też się stało. (...)

O handel trzeba dbać nieustannie, a jak dba się w Gorzowie? Przykładowo na ul. Kosynierów Gdynskich – na odcinku tuż za rondem w kierunku hotelu Mieszko miasto stawia zakaz zatrzymywania się, mimo że pas pieszy jest poszerzony i możnaby stworzyć tam miejsca parkingowe. Jeden niefortunnie postawiony znak zakazu skazuje handlowców na vegetację. Podobnie z ulicą Dworcową – zrobiono z niej jednokierunkową – po co? Nie lepiej było zmodernizować skrzyżowanie z ul. Sikorskiego, by usprawnić połączenie z Dworcową i dalej ze

Składową? Skazano sklepy przy Dworcowej na upadek. Z ul. Dzieci Wrzesińskich w ulicę Łokietka, w kierunku Dąbrowskiego i dalej do centrum też nie wjedziemy, bo postawiono znak zakazu. Chodziło ponoć o usprawnienie ruchu, ale nie wzięto pod uwagę, że te ulice komunikują przyjezdnych z centrum Gorzowa i decydują o efekcie ekonomicznym okolicznych handlowców. Oczywiście, niektóre ulice muszą być jednokierunkowe, ale czy wszystkie? Weźmy choćby Warszawską, która na krótkim odcinku od III LO do Sikorskiego wcale nie musi być jednokierunkowa. Przecież po niewielkiej modernizacji moglibyśmy nią wjeżdżać do centrum w sąsiedztwo Katedry. Przy Białym Kościółku należy wrócić do pomysłu budowy ronda, które by komunikowało przyjezdnych z całym śródmieściem i dawało możliwość wjazdu do centrum ze wszystkich kierunków.

Najgorzej ma przyjezdny nieznaną miasto, trafiając choćby na Warszawską od ronda Santockiego – po kilkuset metrach mijają Białe Kościółki i lądują na osiedlu Widok, skąd reklamy zaprowadzą go prosto na parking któregoś z hipermarketów lub po prostu, nie zatrzymując się, gdzieś dalej. Jadąc z kierunku Gdańska, niezachęcony możliwością zaparkowania pojazdu, prawym pasem ul. Wybickiego na pewno wjedzie prosto do Askany. Jest to klasyczny przypadek inżynierii powodującej, świadomie lub nie, wyprowadzanie ruchu z centrum w kierunku wielkich obiektów parkingowo-handlowych.

Brzmi to jak teoria spisku. Jakby to komuś pasowało, że śródmieście umiera – mało atrakcyjne, nikt w nim nie chce czy nie może się zatrzymać, ulice jednokierunkowe wyprowadzą przyjezdnego wprost na parkingi centrów handlowych, a zatem nie pójdzie na zakupy w centrum miasta, nie odwiedzi muzeum czy Katedry, nie wypije przysłowiowej kawy i nie zostawi pieniędzy. Ale jak przyjezdny ma się poruszać w tym jednokierunkowym labiryncie miasta?

Samochody osobowe to zbrodnia XXI wieku, ale to też narzędzie pracy i środek powszechnej komunikacji, a z tym trzeba umiejętnie żyć. Nie da się samochodów wyeliminować i pozbyć zakazami wjazdu czy postoju. Po prostu nieustannie należy zwiększać liczbę miejsc parkingowych wszędzie, gdzie to tylko możliwe, a ulice jednokierunkowe ustalać tylko tam, gdzie jest to konieczne. Trzeba pamiętać, że samochodem jedzie

przecież w kierunku śródmieścia potencjalny klient, od którego w znacznej części zależy rozwój handlu, gorzowskich przedsiębiorstw i kondycja finansowa miasta. Tenże zmechanizowany klient nie przeszkadza swoim samochodem właścicielowi galerii, tam go przyjmą uprzejmie choć za cenę biletu parkingowego. W śródmieściu taki klient, to zakala, intruz i trzeba się go pozbyć jednokierunkową ulicą, wyprowadzając do galerii handlowej albo hipermarketu i to tak, aby czasem nie mógł gdzieś na jakimś rondzie lub łatwym objazdem wrócić pod któryś z małych sklepików, pod kawiarenkę czy restaurację. Jeśli już udałoby mu się wrócić do centrum, co graniczy z cudem, to cena biletu z parkomatu zakupów mu nie ułatwi i kawy w gorzowskiej kawiarence nie wypije. Są miasta, gdzie w sobotę za postój w śródmieściu się nie płaci.

Widzimy z wielkim smutkiem upadek małych i średnich sklepów odzieżowych i spożywczych, kawiarenek i restauracji i bolesny upadek księgarń. Równocześnie widzimy wysyp agencji towarzyskich, sklepów alkoholowych i z dopalaczami, pijalni piwa, ciucholandów, banków zadłużających biedne społeczeństwo i aptek będących odzwierciedleniem zdrowotnej kondycji naszego społeczeństwa. Do tego dochodzi cała patologia gorzowskiej transformacji, która nas pozbawiła dużych i solidnych przedsiębiorstw, które jeszcze niedawno były lokomotywami gorzowskiej gospodarki. Fundusze z UE za parę lat się skończą i co wtedy? Żeby sensownie rozwiązać problem śródmieścia, należy zadbać o jego kondycję finansową. Nasze śródmieście od dawna powinno być wielką galerią handlową, szczególnie ul. Sikorskiego i Chrobrego. Tak na wzór Piotrkowskiej w Łodzi, śródmieścia Nysy, starówki Torunia, Półwiejskiej i starówki w Poznaniu czy centrum Gniezna. Jest z czego i od kogo brać przykłady. Skąd pieniądze na rozruch? Będzie nowa perspektywa funduszy UE, trzeba już się przygotować. Wiele zadań robić etapami i konsekwentnie dążyć do zamierzonego celu, rozłożyć w czasie. Społeczeństwo zrozumie, tylko uczciwie trzeba Mu to powiedzieć i dać nadzieję. (...)

AUGUSTYN WIERNICKI

czytaj

cały tekst na www.echogorzowa.pl

...NADZIEJA DLA GORZOWA •



Był za długo

Myśląc o bilansie rządów Prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka, należy pamiętać o całym szesnastolecu. Na pewno w sumie jest to bilans pozytywny. Ale już nie na miarę obecnych oczekiwań mieszkańców naszego Miasta. Ludzi, którzy stali się Europejczykami, którzy często jeżdżą za granicę, którzy niemal na co dzień lub niewiele rzadziej bywają w Berlinie, Frankfurtu, Londynie itp. I nie chodzi mi wcale o sprawy wielkie w sensie inwestycji, nowych budowli, stadionów, bo te były, nawet na wyrost. Chodzi mi o sprawy przyziemne. Coś, co się rzuca w oczy, chodząc po Gorzowie, to postępująca degradacja Miasta w sensie fizycznym. Zapuszczona zielen, odrapane budynki, katastrofalny stan nawierzchni ulic, tramwaje czterdziestoletnie, dziwny układ komunikacyjny w centrum miasta, makabryla tzw. dominaty itd., itp.

Gorzowianom powoli odechciewało się żyć w naszym mieście. Każdy z nas lubi czystość, porządek, przystriżone trawniki, równe jezdnie i chodniki itp. Tego potrzeba jak powietrza. Kolejna sprawa to szkoła wyższa z prawdziwego zdarzenia. O Akademii Gorzowskiej mówi się od wieków. Zamiast ją tworzyć, obserwowaliśmy spór pomiędzy władzami Miasta, pisząc eufemistycznie, a władzami uczelni, które tę Akademię miały utworzyć. Od wielu lat nie posunęliśmy się do przodu w tej sprawie. A młodzi zamiast tu studiować, wyjeżdżali. Wracając na wakacje, widzieli miasto, jak wyżej, i nie mieli żadnej ochoty tu wracać.

Dowodem takiego stanu był ranking ogłoszony w tygodniku „Polityka”, na kilka dni przed wyborami, w którym Gorzów umieszczono na 52 miejscu, na 66, wśród dużych miast w Polsce. Ranking, w którym najważniejszym kryterium oceny władz miasta był komfort życia jego mieszkańców. Na dobitkę Zielona Góra, co dla nas szczególnie bolesne, w tym rankingu znalazła się zdecydowanie wyżej, bo na 24 miejscu. I to było zgodne z odczuciami mieszkańców i zapewne wielu wahających się ten ranking przekonał, że tak dalej być nie może.

Symbolem z kolei oderwania od rzeczywistości, nie tyle samego Prezydenta, co jego ekipy, było upieranie się przy postawieniu szlabanu od dzielającego Filharmonię od Miasta. Na kilka interpelacji radnych w tej sprawie, by szlaban usunąć, kierownictwo Miasta odpowiadało, że nie jest to możliwe, gdyż samochody z miasta podjeżdżając pod Filharmonię pozostawiały na świeżym bruku ślady oleju, co psuło estetykę miejsca (tak dosłownie). Bruk był ważniejszy od mieszkańców, którzy musieli dreptać ok. 150 metrów z parkingu do gmachu Filharmonii, najczęściej w wizytowych strojach, bo tak się przecież chodzi do przybytku Muz.

Do tego dochodził obraz Prezydenta skonfliktowanego z Radą Miasta. I nie istotne, po czyjej stronie leżała wina za taki stan rzeczy. Chociaż wydaje się mało prawdopodobne, by zawsze rację miał ten jeden (Prezydent) a 25 (Rada) racji nie miało.

Na koniec, kiedy Prezydent praktycznie już poległ, osinowym/osikowym kołkiem, niczym wampira, przebili go towarzysze z lewicy, zgłaszając na ostatniej sesji Rady, tuż przed wyborami, wysoce krytyczną wobec niego uchwałę o stanie dróg, jezdni i chodników w mieście. Przypomnę, że ta sama lewica umieściła p. Prezydenta na pierwszym miejscu swojej listy w wyborach do Sejmiku, który to mandat zresztą jako jedyny z ich listy zdobył. Cóż, takie są zwyczaje na lewicy, czym Prezydent nie powinien być zaskoczony.

Kończąc ten wątek, jestem przekonany jednak że już niedługo mieszkańcy Gorzowa z sentymentem będą wspominać Prezydenta Jędrzejczaka. Jako „swojego chłopca”, człowieka wielu talentów, ze swadą przemawiającego, rzeczywistego budowniczego naszego miasta, ale który był po prostu „za długo”. Także jako straszliwie skrzywdzonego przez wymiar sprawiedliwości. Najpierw przez postawienie mu absurdalnych zarzutów, następnie skazanego w I instancji, oczywiście niesłusznym wyrokiem (wstyd gorzowska Temido!). Na szczęście są jeszcze sędziowie w Szczecinie.

Samokrytycznie przyznaję, iż także i ja ponoszę część odpowiedzialności za tę porażkę. Przez zdecydowaną część ostatniej kadencji byłem w klubie go popierającym. Nie żałowałem decyzji o wstąpieniu do tego klubu, gdyż po trzech kadencjach widziałem dokonania Jędrzejczaka, a także uważałem, iż należy mu się wsparcie w jego trudnej wtedy sytuacji prawnej. Uczestnicząc, z racji zawodu, w jego procesie (choć nie byłem jego obrońcą) dostrzegałem niesprawiedliwość oskarżenia i niewinność Prezydenta. Odszedłem z jego klubu w momencie, w którym został (praktycznie) oczyszczony z zarzutów, widząc, że sprawy idą w złym kierunku. A klub „Nadzieja dla Gorzowa”, który już na początku miał minimalny wpływ na Prezydenta, przy końcu kadencji wpływu już nie miał żadnego. Nie uważałem więc, że muszę trwać na posterunku do końca, kiedy „Titanic” tonął, tym bardziej, że nie ja byłem jego kapitanem.

Nowy Prezydent ma do zapisania czystą kartę. Ma wielką szansę, tym bardziej, że na razie niczym sobie nie zasłużył na tak olbrzymi kredyt zaufania. Władza została mu podana na tacy. Oby tej szansy nie zmarnował. Oby wykorzystał entuzjazm obywatelskiego ruchu, który go wyniósł do władzy, a także chęć współpracy, jaką żywią na pewno wszyscy członkowie nowej Rady.

JERZY WIERCHOWICZ

...PATRZĘ NA MOJE MIASTO •



Nie zmarnować tej szansy

Nie dość, że uniknęliśmy czarnego scenariusza, to jeszcze otwierają się wspaniałe perspektywy dla naszego miasta. Nie zmarnujmy tej szansy. Fantastyczne rozstrzygnięcie w tych wyborach daje szansę na skuteczną władzę oraz otwiera możliwości porozumienia i współpracy. Nie koncentrujmy się na tym, co nas różni, ale co wspólnie możemy zrobić dla mieszkańców.

Oczywiście gratuluję panu Jackowi Wójcickiemu, Prezydentowi Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, bardzo wyraźnego, jednoznacznego zwycięstwa w tych wyborach. Najciekawsze jest to połączenie w Radzie Miasta - świeżości i entuzjazmu z doświadczeniem i powściągliwością. To może dać niezwykle dobre rezultaty. Wszystko zależy, jak zwykle, od konkretnych ludzi. Przyjmując wypowiedane słowa nowego lidera naszego miasta poważnie, jeżeli to tylko możliwe, budujmy wielką koalicję dla miasta i mieszkańców. Nie widzę żadnych powodów i argumentów, żeby tego nie robić. 150% energii skierujemy na wykorzystywanie szans naszego miasta i na rozwiązywanie konkretnych problemów.

MIROSŁAW RAWA

Blogi na echogorzowa.pl

Na portalu echogorzowa.pl swoje blogi prowadzi wielu znanych gorzowian. Oprócz tych zaprezentowanych tutaj pisze także wielu innych. Oczywiście pisać może każdy, kto tylko ma coś do powiedzenia, przekazania innym. Zainteresowanych prowadzeniem bloga na naszym portalu prosimy o kontakt z redakcją, po wcześniejszym zapoznaniu się z regulaminem portalu.

Tutaj prezentujemy tylko skromną część tekstów, jakie do tej pory opublikowali nasi blogerzy, którzy piszą na różne tematy, kiedy tylko chcą, co sprawia, że jedni piszą częściej, inni rzadziej, ale piszą pod swoim nazwiskiem i zawsze na temat.

REDAKCJA

...MOJE IRYTACJE I FASCYNACJE •



Landsberska opowieść o pradziadku

Ma to miasto jedną fantastyczną rzecz, którą chwala jak kraj między rzekami długi i szeroki.

A są to modelowe, wzorcowe, wręcz przyjazne kontakty z byłymi mieszkańcami. A nie wszędzie tak jest. Piszę to na kanwie tego co się całkiem niedawno w księżnicy wojewódzkiej wydarzyło. Otóż Wolfhart Paucksch opowiadał tam o swoim pradziadku i jego firmie, czyli Johannie Hermanie Pauckschu i jego zakładach budowy maszyn, jednej z największych, bodaj największej fabryce w przedwojennym Landsbergu. Hermann Paucksch to twórca fabrykanckiej potęgi, ale i budowniczy Zawarciańskiego Zameczku, czyli do niedawna siedziby Grodzkiego Domu Kultury, o który pieczołowicie należy zadbać i mam nadzieję, że to się stanie, ale też twórca opieki socjalnej, którą w niebawmy, jak na tamte czasy sposób, otoczył swoich ludzi właśnie ten światły i głęboko mądry pracodawca.

I choćby już to, że kolejny potomek kolejnego fabrykanta wygłosił wykład o swoim antenacie, jest niezwykle i godne chwalenia pod niebiosy. Bo zwyczajnie rzadko się zdarza, w skali zresztą całego kraju, aby takie kontakty byłych mieszkańców trwały, i aby ich potomkowie po latach wspominali ich w publicznych instytucjach. Bo raczej zapomnia się o tych ludziach, albo niechętnie pamięta, bo przecież cały czas pokutuje dziwaczne przekonanie, że być może Niemcy zechcą tu wrócić i coś tam zabrać.

Trzeba i należy pamiętać, że takie modelowe kontakty budowane były od wielu lat. Zaczęły się w latach 70. ubiegłego wieku dzięki Hansowi Beske, który dołożył wielu starań, aby jednak wrócić do rodzinnego miasta, choć klimat wcale nie był sprzyjający. Potem zmienił się system i kontakty stały się możliwe i ówczesne władze wykorzystały tę szansę. Zapraszały ziomków do udziału w miejskich uroczystościach, dość przypomnieć odsłonięcie Pauckschmarie, fontanny kobiety z wiadrami, wspólnym polsko-niemieckim wysiłkiem odtworzonej pieczołowicie przez gorzowską rzeźbiarkę Zofię Bilinską. Dość przypomnieć Dni Pamięci i Pojednania obchodzone każdego 30 stycznia, dość wspomnieć kontakty na płaszczyźnie kultury czy nawet

na płaszczyznach prywatnych. No marzenie taka sytuacja. I nam się to tu w mieście nad trzema rzekami zwyczajnie udało.

A przecież kontakty biblioteki z wnukami byłych fabrykantów to nie jeden ślad. Takie uskuteczniła też Muzeum Lubuskie. Bo przecież utrzymuje przyjazne związki z panią Carlą Mueller, wnuczką Gustwa Schroedera, budowniczego siedziby muzeum, też gorzowskiego fabrykanta. Pani Carla jest na co dzień w muzeum. I za każdym razem powtarza, że to szczęście widzieć rodzinny dom tak zadbanym. Dzięki potomkom Schroedera muzeum wzbogaciło się i wzbogaca o cenne przedmioty, bo związane z rodziną fundatora. W tym mój ulubiony obiekt, cudnej urody zestaw śniadaniowy, który można podziwiać na parterze budynku, a który ja planowałam jakiś czas temu zwyczajnie ukraść, ale durny pomysł wywietrzył mi z głowy - żart naturalnie, ale ile razy w muzeum jestem, to idę sobie pogapić się przepiękny porcelanowy komplecik.

A warto tu powiedzieć, że podobnych kontaktów z byłymi mieszkańcami nie ma Szczecin, gdzie ciągle niewygodnie jest mówić o niemieckich korzeniach miasta, o czym za każdym razem mówią goście z tego miasta zaprzyjaźnieni z gorzowskim placówkami kulturalnymi i badawczymi. Dość wspomnieć, że jeszcze rok temu w Winnym Grodzie obchodzono Dzień Powrotu do Macierzy, i ja zawsze przy takich okazjach się zastanawiałam, kto i jaki powrót do jakiej Macierzy obchodzi. Bo ze zwykłej logiki mi wychodziło i nadal wychodzi (choć akurat z tej dziedziny mózgowej aktywności to ja raczej marna jestem), że to Niemcy powinni takie święto obchodzić, a nie osiedleńcy, którzy po II wojnie zamieszkali w Grünebergu. Taki paradoks.

Co więcej, po latach udało się wiele wspólnych pamiątkowych kamieni i pomników ustawić na cmentarzach mniejszych miejscowości w okolicy miasta na siedmiu wzgórzach ustawić. A co wcale łatwe nie było, bo w mniejszych dziurkach opór społecznej materii był znacznie większy niż w mieście wielkim i pięknym, jak do znudzenia powtarza mi przemila znajoma w nadziei, że ja też w ten miraż uwierzę. Choć teraz może i ono się stanie piękne, jak je nowa władza dość poważnie wy-sprząta.

No jednym słowem dobrze i normalnie się dzieje, bo tylko w taki sposób można uporać się z ogromem win i żalów po obu stronach, jednak z akcentem przewagi win po tej drugiej stronie, niestety.

RENATA OCHWAT

...OSTATNI PRZY STOLIKU NR 1 •



Mój kawałek muru berlińskiego

Właściwie to już od pierwszych dni listopada 1989 roku siedziałem w Berlinie.

Henio, czyli „Łysy” z Gorzowa do Berlina zachodniego mnie przywiózł, łóżko polowe w mieszkaniu rozstawił i kazał czekać. Mur zaraz padnie. No to czekałem, pod mur codziennie biegałem i obserwowalem jak setki, a później tysiące obywateli świata mur od strony „wolnej” chciało rozebrać. „Łysy” do pracy chodzić musiał. W Senacie był zatrudniony, a jako mężczyzna sprawny i młody wraz z grupą urzędników prawdziwe pieniądze po dzielnicach berlińskich rozwoził.

Codziennie na mocy ustaleń pomiędzy NRD i NRF setki starych ludzi przechodziło przejściami pomiędzy wrogimi częściami miasta. W odwiedzin. Po latach. Kwitła miłość rodzinna, nie bez znaczenia była też w niektórych przypadkach pazerność enerdownców. 100 marek zachodnich na głowę Senat dawał, a to był solidny zastrzyk gotówki. Widziałem na przejściu na dworcu przy Friedrichstrasse staruszkę, którego enerdownska rodzina do barierki doprowadziła, a z zachodniej strony rodzinka za łaskę delikwenta wciągała. Taka była przemożna chęć zdobycia DM. Z powrotem było nie lepiej. Babcia musiała przejść parę metrów przez zrobioną już lukę w murze na Potsdamer Platz. Żeby było śmieszniej, Plac był wtedy gigantyczną łaką, na której kozy się pasły. Napiecie, jakie towarzyszyło jej przejściu, pamiętam do dziś. Padła dopiero w ramiona wschodnioniemieckiej rodziny, ale reklamówki ogromne od ALDIEGO - doniosła.

Dni mijały, olbrzymie rusztowania dla kamer TV przy Bramie Brandenburskiej mokły w deszczu, a władze negocjowały. Zachodnie, żeby jak najmniej bolało połączenie, wschodnie, jak uratować tyki partyjnych aparatczyków i bandziurów ze Stasi. Czekaliśmy, ale robić to było co. Mur, głównie na odcinku od Placu Poczdamskiego do prawie samej Bramy oblepiony był turystami z całego świata. I wszyscy kuli. Kilofy, dłuta i młoty. Na murze żołnierze NRD, a pod murem podcinają ich „kujony”. Całkiem sprawny byłem, to i pomagałem kuć. Babulka jakaś w wieku, jaki mam teraz, pracowicie próbowała śrubokrętem chociaż

kawałeczek odłupać. Cholera - Polka. „Dla córeczki mój kochany, dla córeczki”. No to kułem. Po dwóch dniach skonstatowałem, że muskuly mi rosną, czas leci, a ja nie mam żadnego kamienia. I jakoś bez narzędzi pod murem byłem. „Angola” zobaczyłem. Pięknie był zbudowany, opalony i z gustem ubrany. A sprzęt jaki! Najwyższej niemieckiej klasy majzel i młotek. Sam tylko jakiś taki delikatny. Dawaj sprzęt! Kułem, kułem na styku dwóch płyt, beton twardy jak na nadbrzeżach portowych, a kamieni pomalowanych nie przybywa. Miejscowe dzieciaki, Niemki, jakieś Azjatki. Wszyscy moje kamienie, ciężką pracą odkute zbierają. A „poszli wy”, bo STASI zawołał. Na sam dźwięk STASI uciekli. Resztę kamieni do kieszeni i z „Angolem” do parku zapalić. Miał tylko skręty, miły był i żeby był heteroseksualny, to nawet kumplami mogłymi zostać.

Do niedzieli pamiętam wytrzymałem. W poniedziałek musiałem być w pracy. Niemiaszki tam i z powrotem łążą, po stówie zbierają, mur stoi, a ja muszę do roboty. Pociąg do Frankfurtu i biegiem do przejścia na most. Za godzinę mam ostatni autobus do Gorzowa. Na przejściu pusto, a w niemieckiej budce granicznej starszy Niemiec je kolację i ma mnie głęboko w... Po niemiecku umiem tylko hande hoch, a „gut, to jak mam mu wytłumaczyć, że mi się spieszy. Do dziś pamiętam, że ze słoiczka żarł sałatkę warzywną. Na oko trochę za dużo marchewki było. Za słodka musiała być. Moja Basia lepszą robi. Stoje, czekam. Nic. Kurteczkę do figury miałem, zimny wiatr gwizdże jak w Kazachstanie, a ten je i autobus zaraz odjedzie. Koszmar.

I wtedy wyjąłem z kieszeni kolorowe odłamki muru. Tak sobie, żeby pooglądać. Zobaczyć je. Oczy na szpytkach mu wyszły. Poznał je. A może sam przed laty ten mur stawiał? Na migi pokazałem, że ja mu kamyczek, a on mnie do ojczyzny puści. Dałem. Pokazał, że za dwa. Cholera, pazerny szkop. Dałem. Już, już barierkę otwierał i jakaś Gerta mu się przypomniała, czego nie omieszkiał mi powiedzieć. A masz ty... Biegiem na dworzec. Zdążyłem na autobus i to tylko po to, żeby za parę dni znowu do Berlina wrócić na oficjalne uroczystości. Szaleńcza była ta późniejsza wizyta, ale tego nie opiszę, bo jednym z niezapomnianych przeżyć był koncert Mściława Roztropowicza w załomie muru berlińskiego, a tego wielkie serce drobnej Renatki Ochwat może nie wytrzymać.

PIOTR STEBLIN KAMIŃSKI

...RACJE, AKCJE I REAKCJE •



Gorzów – miasto moje, twoje, nasze

Przyznaję, nie jestem rodowitym gorzowianinem. Takich przybyszy jak ja, w 130-tysięcznej populacji gorzowian jest zapewne całkiem sporo. Każdy z nas, „przyszywanych gorzowiaków”, musiał po swojemu budować

osobiste relacje z miastem, gromadzić emocje i przeżycia, które stały się z czasem podstawą lokalnego patriotyzmu. To długi i mozolny proces, tym cięższy że trafilem tu już jako dorosły i ukształtowany facet. Zawsze czulem się uboższy od swoich gorzowskich przyjaciół o wszystkie ich doznania i wspomnienia z dzieciństwa, z zazdrością słuchałem rozmów kolegów z jednego podwórka połączonych wspólnotą szkolnej ławy, pierwszych wzruszeń i przygód. Miałem, co prawda i ja swoją Arkadię dzieciństwa, ale opuściłem ją przed laty, a koledzy z podwórka rozpiechali się gdzieś po świecie.

Budowanie swej gorzowskiej tożsamości rozpoczynałem tak jak pionierzy z roku 1945, od nauki poruszania się w nieznanym labiryncie ulic. Potem przyszedł czas poznawania ludzi tu żyjących, bo przecież miasto to ludzie. Gorzów zawsze miał tę niespotykaną wszędzie cechę - akceptacji i szybkiej asymilacji ludzi z zewnątrz, obcy bardzo szybko stawali się swoi. Pewnie wynikało to z tradycji miasta, którego społeczność stanowili wędrowcy z różnych stron świata, repatrianci „zza Buga”, przesiedleńcy z Akcji Wisła, pierwszy kolejarski zaciąg z wielkopolskiego Wągrowca, Romowie, dla których to miasto stało się przystanią dla ich taborów.

Ulepienie tych wszystkich ludzi różniących się właściwie wszystkim, od wierzeń religijnych poczynając, a na obyczajach i upodobaniach kulinarnych kończąc, to pasjonujący proces socjologiczny i materiał na wielowątkową powieść.

Problemem dla wszystkich przybyszy, i tych z roku 1945, i tych którzy przyjechali tutaj zwabieni ofertą zatrudnienia w powstających wielkich zakładach produkcyjnych, i tych z wojewódzkiego zaciągu roku 1975, czy tych, którzy postanowili swą edukację odbyć w renomowanych gorzowskich ogólniakach było oswojenie miasta, tak by można je uznać za swoje. Najtrudniej było zaraz po wojnie, gdy miasto było zrujnowane nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim zostało kompletnie pozbawione jakichkolwiek cech szczególnych, takich które mogłoby być jakimś znakiem rozpoznawczym, tak jak dla poznaniaków jest ich oszczędność, dla warszawiaków etos powstania i stołeczności, a dla Krakowa magia cudownego miasta o wielkiej historii. Stąd właśnie biorą te często rozpaczliwe próby określenia „gorzowskowości”, co jednak okazuje się uludą i poszukiwaniem nieistniejącego jednoróżca.

Dłatego puchniemy z dumy, gdy „rycerze czarnego toru” (to poetyka sportowych sprawozdawców) zdobywają tytuł krajowego mistrza, cieszymy się z sukcesów gorzowskich rodaków, choć ich sukcesy zawodowe i artystyczne to najczęściej wynikają wyłącznie z ich pracy i talentu. Chyba jednak nie można mówić o gorzowskim genius loci, który mógłby przyczynić się do osiągnięć Krystyny Prońko, Kazimierza Marcinkiewicza, Katarzyny Zawidzkiej, czy wielu innych naszych krajan, którym powiodło się w wielkim świecie. Fakt, że w ich życiorysach został odnotowany kiedyś gorzowski adres nie miał zwykle żadnego związku z ich karierą.

Zbyt często nękał nas kompleks prowincjonalnego miasta położonego gdzieś tam na dzikim zachodzie, kiepsko skomunikowanego z resztą kraju, a w dodatku beczelnie wykorzystywanego i eksploatowanego niczym afrykańska kolonia przez cwanych sąsiadów z południa.

Pojawiły się jednak oznaki zmiany sposobu myślenia o naszych gorzowskich sprawach. Coraz częściej i powszechniej staramy się inspirować przeszłością naszego miasta, również tymi latami, gdy Gorzów był Landsbergiem am Warthe, szukając w historii powodów do dumy, że właśnie tutaj znaleźliśmy swoje miasto na ziemi. Piękna wystawa starych fotogramów przygotowana przez Alinę Czyżewską i jej przyjaciół, stała ekspozycja w spichlerzu pokazująca widoki z przedwojennego Gorzowa pokazuje walory pięknego, klimatycznego, pełnego zieleni i urokliwych zakątków miasta. Tak się złożyło, że w tym samym czasie wpadły mi w ręce dwa piękne wydawnictwa o niedawnej przeszłości Gorzowa, wydany w roku 2012 zbiór prywatnych fotografii gorzowian i tak właśnie zatytułowany „Z albumu gorzowian” oraz pachnący świeżością album wydany z okazji „100 lat Parku Róż”.

Ze starych fotografii uśmiechają się do nas mieszkańcy zarówno Landsberga, jak Gorzowa lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Ten uśmiech to nie tylko poza na potrzeby fotografa, mam wrażenie iż przez ten uśmiech przebiega radość z życia w tym mieście, umiłowanie Heimatu, ale także i mały ojczyzny. To wspaniałe przesłanie dla potomnych; cieszymy się swoim miastem, kochamy jego piękne zakątki i ulubione miejsca. Nauczmy się uśmiechać tak jak to robili nasi rodzice, dziadkowie, czy też starzy landsberczycy. To nie tani sentymentalizm, to raczej życiowa filozofia, którą winniśmy się kierować w tych niełatwych czasach. Może nam to wyjść tylko na dobre.

JERZY KUŁACZKOWSKI

Żużel: Bankructwo zajrzało w oczy

Po zakończeniu sezonu żużlowego w 2000 roku w gorzowskim klubie pojawiło się pytanie, co dalej? Pytanie z pozoru łatwe, gorzej było z odpowiedzią. Tak naprawdę znów wszystko rozbijało się o pieniądze.

Przez kolejnych kilka miesięcy trwało rozliczanie się z zawodnikami, działacze nie ukrywali, że borykają się z rosnącymi długami sięgającymi blisko dwóch milionów złotych. Po raz pierwszy bankructwo tak na poważnie zajrzało gorzowskiemu żużlowi w oczy.

Żeby ratować drużynę, koniecznym było zwrócenie się o pomoc do władz miasta. Na wniosek Rady Miasta w trybie alarmowym klub otrzymał 600-tysięczną dotację z budżetu. Pojawił się jednak problem z przełaniem pieniędzy, a sezon właśnie ruszał. W proteście na opieszłość miejskich urzędników wiceprezesi **Jerzy Synowiec** i **Zbigniew Woźniński** podali się do dymisji. Gdy pieniądze znalazły się na klubowym koncie, obaj cofnęli decyzje. Potem z tą dotacją namnożyło się wiele innych kłopotów. Do akcji wkroczył nawet prokurator, uznając, że nie została ona wydana zgodnie z obowiązującym prawem administracyjnym. Po zakończeniu śledztwa skierowano sprawę do sądu, a winnymi okazali się miejscy urzędnicy zajmujący się rozliczeniem dotacji. Klub został ponadto zobowiązany do oddania pieniędzy, a co za tym szło, nie mógł występować przez kolejne lata o nowe środki publiczne (...)

W rundzie zasadniczej gorzowianie zajęli trzecią pozycję, ale w rundzie finałowej, gdzie walczone już o medale, zawodnikom Pergo zabrakło determinacji i, poza świetnym występem przeciw torunianom na własnym torze (wygrana 53:37), w pozostałych potyczkach jeździli tak, jakby nie do końca wierzyli we własne możliwości. Nie zawsze potrafili też właściwie przygotować się sprzętowo. Stąd na finiszu przegrali bój o brązowy „krążek” z Polonią Bydgoszcz, choć w bezpośrednich meczach byli lepsi. W całym sezonie ligowym Pergo na 20 rozegranych spotkań dziewięć rozstrzygnęło na swoją korzyść, jedno zremisowało i poniosło dziesięć porażek. I podobnie jak rok wcześniej, nasi zawodnicy ponieśli za dużo przegranych niewielką różnicą punktową. Owszem, zdarzały się spotkania, które Stal przegrywała w wyniku choćby kontrowersyjnych decyzji arbitrow, ale w niektórych pojedynkach gorzowscy zawodnicy oddawali rywalom zwycięstwo na własne życzenie.



Gorzowscy kibice nie pozostali obojętni na informację o wycofaniu drużyny z rywalizacji ligowej. Pod katedrą rozpoczęli zbieranie podpisów pod petycją do władz miasta o ratowanie żużla nad Wartą.



Pod szyldem Pergo gorzowscy żużlowcy startowali przez pięć sezonów, do 2001 roku. Na zdjęciu drużyna wicemistrzów Polski z 1997 roku. Stoją od lewej: Sylwester Moskwiak, Mariusz Staszewski, Piotr Świst, Tony Rickardsson, Zenon Plech (trener) i Les Gondor (prezes). Klęczą od lewej: Paweł Nizioł, Robert Flis, Piotr Paluch i Tomasz Bajerski

Pomimo braku medalu, który był na wyciągnięcie ręki, zadowolony z przebiegu sezonu był prezes **Les Gondor**, który w mediach mówił, iż dzięki zaangażowaniu wielu ludzi udało się przetrwać jeden z najtrudniejszych okresów nadwarciańskiego speedwaya. Powiedział wprost, że to cud, iż mając pustki w klubowej kasie, udało się zająć tak daleko. Zwłaszcza że w opinii fachowców drużyna miała walczyć o utrzymanie się w ekstraklidze, a nie o miejsce na podium (...).

I znowu ledwo wstawiono do warsztatów motocykle, a w środowisku sportowym Gorzowa pojawiło się pytanie: co dalej? Sytuacja finansowa klubu stała się już tak dramatyczna, że brakowało pieniędzy na codzienną działalność. Nie mówiąc o rosnących długach. Jeszcze

w październiku prezes Gondor twierdził, że nie będzie powtórki błędu z minionego roku, kiedy to tuż przed rozpoczęciem rozgrywek okazało się, że brakuje pieniędzy na wszystko. Nawet na przygotowanie sprzętu. Przyznał też, że rewolucyjnych zmian nie należy się spodziewać, bowiem klubu nie stać na kontraktowanie gwiazd. Z drugiej strony uważał, że posiadany potencjał kadrowy jest ciągle ciekawy i trzeba w tych żużlowców inwestować, dawać im szansę.

Te słowa prezesa może nie napawały wielkim optymizmem, ale pozwoliły kibicom na spokojne udanie się na żużlowe wakacje. Nie trwały one długo. Kiedy na dobre wypłynęła sprawa źle rozliczonej dotacji otrzymanej na początku roku z budżetu miasta, stało się jasne, że

klub znalazł się w dramatycznej sytuacji. 29 listopada w godzinach nocnych (!) zarząd Stali podjął decyzję o wycofaniu zespołu z ekstrakligowych rozgrywek w sezonie 2002, argumentując decyzję utratą płynności finansowej i brakiem perspektyw na dalsze pozyskiwanie środków na działalność sportową. Jednocześnie na listę transferową wystawiono wszystkich zawodników bez ważnych kontraktów. I to za wyjątkowo atrakcyjne kwoty odstępnego. Przykładowo **Piotr Świst** trafił na listę ze stawką zaledwie 75 tys. złotych, **Rafał Okoniewski** tylko za 50 tys., a **Mariusz Staszewski** za 30 tys. złotych. Wolną rękę w poszukiwaniu nowego pracodawcy otrzymał również **Jason Crump**, który miał ważny kontrakt z Pergo.

Załamany informacją o wycofaniu stalowców z ligi był

nieżyjący już Aleksander Ilnicki, człowiek-legenda gorzowskiego speedwaya. Przez kilkadziesiąt lat był kierownikiem stadionu i szefem organizacji imprez. W rozmowie ze mną nie krył żalu i rozczarowania.

- Wszystko ma kiedyś swój koniec - zaczął ze smutkiem.

- Uważam, że wina obecnych kłopotów całego żużla w Polsce leży głównie po stronie działaczy, a w przypadku Gorzowa także po stronie radnych. Ludzie narzekają, że zawodnicy wyciskają z klubu tyle pieniędzy, ile się da. Zgoda, zarabiają oni stanowczo za dużo do obecnych możliwości finansowych gospodarki kraju, ale kto im daje te pieniądze, kto wreszcie podbija bębenek żądań? Jeśli Rickardsson nagle uciekł z Gorzowa do Gdańska, to nie dlatego, że morskie powietrze jest zdrowsze, ale dlatego, że gdańszczanie zdecydowanie przebili stawki proponowane przez Pergo. Potem jeszcze więcej Szwedowi dali torunianie. A dlaczego Świst nagle wyjechał do Rzeszowa? Przykłady te można mnożyć, ale wszyscy je doskonale znają. Natomiast radni powinni zrozumieć, że należy wspierać społeczne inicjatywy wzbudzające szerokie zainteresowanie mieszkańców. Jeśli są pieniądze na kulturę, to i powinny być na sport, w tym na żużel - stwierdził.

Oburzony stanowiskiem zarządu klubu był **Stanisław Pieńkowski**, wieloletni działacz klubu i znany sędzia żużlowy. Kiedy do niego zadzwoniłem w ostatni dzień listopada w 2001 roku, w pierwszej chwili powiedział, że nie wie, jak skomentować decyzję działaczy podjętą bez udziału szerszego grona ludzi, którym na sercu leży dobro tego sportu.

- Dlaczego o tak ważnej sprawie decyduje kilka osób? - zapytał retorycznie. - Jeśli działacze klubu uznali, że wyczerpali możliwości w pozyskiwaniu środków, powinni najpierw powiedzieć o tym przy otwartej kurtynie, a nie sami podejmować decyzję, która wzbudza ogromne zakłopotanie. Przez kilka ostatnich lat jeden z panów prezesów obrażał inne osoby ze środowiska sportowego, a dzisiaj zamiast przyznać się do popełnionych błędów i wykonać skrupuły, przykłada rękę do likwidacji czegoś, co kilka pokoleń budowało przez ponad 50 lat. Chcę wierzyć, że to tylko sen, bo jeżeli rzeczywiście drużyna nie przystąpi do rozgrywek, wtedy

przez 15-20 lat Gorzów nie odbuduje żużla - dodał.

Zaskoczenie związane z decyzją Pergo wywołało szok nie tylko w Gorzowie. Pamiętam, że kiedy zadzwoniłem z tą informacją do **Adama Zajęca**, redaktora naczelnego „Tygodnika Żużlowego”, ten od razu powiedział, iż nie wyobraża sobie, aby gorzowscy żużlowcy nie wystąpili w przyszłym roku w ekstraklidze.

- Czasami mam wrażenie, że działacze Pergo zachowują się jak obrażone panienki, które radykalnymi decyzjami chcą wymusić na lokalnym otoczeniu zdobycie funduszy na działalność klubu, zamiast samemu wziąć się do ciężkiej pracy - stwierdził.

W ocenie byłego trenera Stali (także nieżyjącego już) **Jerzego Kniazia** przykład problemów finansowych gorzowskiego klubu świadczył, iż środowisko żużlowe doszło do granicy, po przekroczeniu której istnienie profesjonalnego żużla w Polsce zostało zagrożone.

- Nie mogę uwierzyć, że Pergo wycofuje się z rozgrywek. Dla mnie Gorzów zawsze znaczył w żużlu coś więcej niż tylko jeden z wielu ośrodków. Ale z drugiej strony doszliśmy już do absurdu, gdyż żużlowcy żądają astronomicznych kwot, a działacze im je dają. Bo za wszelką cenę działacze chcą się ratować, co prowadzi w efekcie do ruiny. Gdyby ode mnie zależało, nigdy nie płaściłbym zawodnikom za podpisywanie kontraktów. Oferowałbym im dobre stawki za zdobyte punkty - powiedział.

Czyżby wielki żużel miał naprawdę zniknąć z nadwarciańskiego krajobrazu? - zastanawiali się kibice, którzy zostali porażeni informacją podaną przez media. Nawet zakochany bez umiaru w futbolu „Przegląd Sportowy” uznał wiadomość z Gorzowa za jedną z najważniejszych i artykuł pod wiele mówiącym tytułem „To nie blef” zamieścił na drugiej stronie. Nie takiej jednak promocji chcieli żużlowcy siedmiokrotnych drużynowych mistrzów Polski...

ROBERT BOROWY

Od redakcji: Jest to fragment książki „Żużel nad Wartą 1990-2014”, która wkrótce ma być wydana przez WiMBP przy udziale KS Stal Gorzów. Książka będzie do nabycia w sklepie klubowym w Nova Park

Gorzów jak Nowy Jork i cztery bisy

To się nie zdarza, aby gwiazda i to takiego formatu, jak Thomas Hampson, bisowała aż cztery razy i takie miłe słowa pod adresem zarówno orkiestry, jak i samej instytucji, a także publiczności wypowiadała.

Koncert awizowany jako wydarzenie sezonu w Gorzowskiej Filharmonii, takim w istocie był. A to za sprawą wielkiej klasy i olbrzymiego talentu, także aktorskiego oraz niewymuszonej rewerencji samej gwiazdy, znakomitego przygotowania i poprowadzenia orkiestry Filharmonii Gorzowskiej, jak i widzów, którzy na wydarzenie przybyli 24 października 2014 r..

- Kiedy jechałem tu, do tego kompletnie nieznanego, nierozpoznawalnego dla mnie miejsca, nie wiedziałem, czego się spodziewać. A tu zobaczyłem taką piękną salę koncertową, spotkałem taką znakomitą młodą orkiestrę i prowadzoną przez tak znakomitego dyrygenta - mówił po kolejnym bisie Thomas Hampson, amerykański baryton, gwiazda pierwszej wielkości wokalistyki operowej i klasycznej, kiedy niosły go oklaski i okrzyki wiwatów publiczności. I dodał taką uwagę, że Nowy Jork ma Carnegie Hall i jest z tej słynnej sali dumny, ale mógłby być szczęśliwy, gdyby miał taką salę, taką orkiestrę, takiego dyrygenta i taką publiczność, jakich spotkał w Gorzowie, czyli w miejscu kompletnie dla niego

nierozpoznawalnym. W tym momencie, co ważne, kiedy zdecydował, że jednak jedzie na koncert, na zaproszenie maistry Moniki Wolińskiej, głównego architekta pierwszego i jedyne go występu wielkiego amerykańskiego barytona. Thomas Hampson wystąpił w repertuarze z pieśniami Gustawa Mahlera i zaczął nawet tych, co to niekoniecznie lubią słuchać pieśni. Każda pozytywna uwaga gwiazdy o jej dobrych zaskoczeniach przyjmowana była huraganem braw na stojąco. W efekcie melomanom dane było wysłuchać aż czterech bisów i zobaczyć, jak po ostatnim gwiazda w tanecznych lansadach oddała się do garderoby, a za nią w takich samych maestra Monika Wolińska, która tego wieczoru była skoncentrowana maksymalnie, co można było dokładnie obserwować w trakcie koncertu. A trzeba dodać, że jeden bis na takim koncercie, to bonus, a było tym razem cztery. To się zwyczajnie nie zdarza i świadczy o tym, że śpiewakowi spotkanie z polską, dokładnie gorzowską publicznością, jednak się podobało i to chyba bardzo.

Afisz piątkowego koncertu skomponowany był nad wy-



Thomas Hampson zaszarował melomanów

raz ciekawie i jednocześnie przemyślanie. Cały repertuar bowiem opierał się o kompozycje tylko jednego kompozytora, austriackiego neoromantyka Gustawa Mahlera. I tak się złożyło, że zarówno pierwszą, jak i drugą część koncertu otwierały utwory orkiestrowe, wprowadzające głównego aktora wydarzenia. Na początek zabrzmiało przepiękne, liryczne, zaczynające się od bardzo ci-

chych, piano, tonów „Adagięto” z V Symfonii cis-moll. A drugą część utworzyła kompozycja „Święto umarłych”. I obie wykonane zostały z godną podziwu precyzją, z utrzymaniem tempa, ze znakomitymi jego zmianami oraz balansem między piano a forte, zwłaszcza w „Święcie”, co szczególnie ważne jest, bo łatwo jest w tym utworze o przesadę. Maestra czuwała

nad całością, przepięknie odbierało się poszczególne instrumenty, które wprowadzały w temat i potem go rozwijały.

A kiedy wszedł na scenę Thomas Hampson, to liczył się głównie on. Amerykańska gwiazda na początek zaśpiewała cztery pieśni ujęte w jedną całość zatytułowaną „Pieśni wędrującego czeladnika”, czyli cykl wczesnych kompozycji powstałych z zauroczenia, zachwytu, miłości w końcu kompozytora do śpiewaczki. Wykonanie świetne. W drugiej części kolejne cztery pieśni z cyklu „Rückert-Lieder”. I to samo określenie, wykonanie świetne. A jak do tego dołożyć znakomicie dysponowaną i świetnie prowadzoną orkiestrę, to jest już miara sukcesu. Bo pieśni Mahlera wcale proste w wykonaniu z orkiestrą nie są. Bo dyrygent musi panować nad tym, aby muzyka, zwłaszcza w partiach forte, nie przykryła głosu śpiewaka, aby nagle nie okazało się, że orkiestra stała się najważniejszym aktorem wydarzenia.

Tego wieczoru w Filharmonii Gorzowskiej najważniejszym aktorem w partiach wokalnych był właśnie wokalista, śpiewak, gwiazda. Bo

to jego głos, niewspomagany przez mikrofon, był świetnie słyszalny, a orkiestra była tylko tym, czym w takich wydarzeniach ma być, czyli drugim po głosie, instrumentem. I to kolejne dla FG i maistry ukłony za mistrzostwo, za taką precyzję wykonania. Bo poprowadzić cały wielki zespół muzyków tak, aby jednak wokalista był przede wszystkim najważniejszy, to precyzja i mistrzostwo.

To kolejny koncert, który po wielu innych, FG może sobie złotymi zgłoskami w historii swojej, która ma zaledwie trzy pełne i początek czwartego sezonu zapisać. I to z kilku powodów. Po pierwsze wystąpiła gwiazda, wielka postać, wielki wokalista i jednocześnie fantastyczny artysta, który potrafi znakomicie wpisać się w chwilę występu. Po drugie maestra tak poprowadziła orkiestrę, że tylko brać wzór i pytać, jak to robi. Po trzecie orkiestra FG kolejny raz udowodniła, że potrafi zagrać wszystko. Nawet trudne kompozycje Gustawa Mahlera. Więc może pora aby w całości zmierzyć się z wielkimi symfoniami Mahlera, bo po takim preludium można się tego spodziewać.

RENATA OCHWAT

...CZYTAJ ZE MNĄ •



Pamięci Zdzisława Morawskiego

W końcu 2014 roku odbył się finał XVIII edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Zdzisława Morawskiego, a nagrodzone prace zostały wydane w książce pt. „Słowa, które leczą”. Konkurs ten po raz pierwszy w 1993 roku zorganizowali przyjaciele Zdzisława Morawskiego skupieni wokół Klubu Myśli Twórczej „Lamus” dla uczczenia pierwszej rocznicy śmierci poety. Od tej pory odbyło się już 17 edycji przeprowadzonych przez Klub lub wspólnie z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną, zaś ostatnia, 18. edycja jest wynikiem samodzielnej pracy biblioteki i tak już ma pozostać. Konkurs odbywa się co dwa lata, rozstrzygany jest w dwóch kategoriach: poezji i prozy.

Książkę otwiera wiersz Hanny Antoniny Bondarenko z Lublina, która zdobyła pierwszą nagrodę za jeden wiersz pt. „Kobieta która gotuje rosół” zachynający się od słów: *kobieta porzucona dla młodszej polyka oddech*. Jury uznało, że wiersz ten tak wybiją się spośród innych, że drugiej nagrody nie przyznało.

Natomiast w kategorii prozy zdaniem jury na konkurs zgłoszono dużo dobrych opowiadań, ale żadne nie wyróżniało się na tyle, aby zdobyć pierwszą nagrodę. Tak więc najwyższą nagrodę (choć drugą) przyznano Barbarze Kowalewskiej z Zielątkowa za opowiadanie „Księga bram”. To przejmująca opowieść kobiety chorej na raka, która w trakcie leczenia musi kilka razy przekroczyć symboliczne bramy, które prowadzą do szczęcia, czyli zdrowia. Wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace można przeczytać w tej książce. Niestety, w gronie laureatów nie ma autorów z Gorzowa.

Z okazji finału konkursu Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna wydała także bibliografię Zdzisława Morawskiego. Część pierwsza obejmuje twórczość literacką z podziałem na tomiki poetyckie (17), powieści (3), dramaty (14), słuchowiska radiowe (8), publikacje w antologiach (26). Przy każdym tomiku wykaz zamieszczonych wierszy i spis recenzji, a przed laty recenzji takich pisało sporo. Przy dramatach i słuchowiskach - miejsce wy-

stawienia lub emisji, recenzje, informacja, gdzie znajdują się rękopisy, bo ani dramaty, ani słuchowiska nie były drukowane.

Wiersze Zdzisława Morawskiego publikowane były 290 razy na łamach 47 pism, jego utwory prozatorskie i dramatyczne - 44 razy. Wszystkie te miejsca zostały skrupulatnie spisane. Następnym 661 pozycji to licznie rozsiadane na łamach pism lokalnych przede wszystkim felietony Zdzisława Morawskiego, które pisał w cyklach: „Listy znad Warty” („Nadodrże”), „Nasze trzy grosze” („Nadodrże”), „Szklany ekranik” („Gazeta Gorzowska”), „Rozważania o codzienności” („Nadodrże”), „W imię ładu i dla niego” („Ziemia Gorzowska”). W sumie uszładowało się aż 1068 autorskich wypowiedzi Zdzisława Morawskiego.

Część druga książki zawiera spis opracowań o osobie i twórczości pisarza i obejmuje 175 pozycji, z czego 30 to wiersze lub inne utwory literackie kolegów poświęcone Morawskiemu.

Taki jest efekt ogromnej, dla mnie katorzniczej pracy Anny Sokółki i Danuty Zielińskiej. Po co one to robiły? Wysiłek obu pań będzie służył tylko wtedy, gdy zostanie wykorzystany do opracowania dorobku pisarza. Ale kto się za to zabierze? Nie mamy historyków literatury, bo gorzowska filologia polska z PWSZ jest skromniutka. Nie ma w mieście klimatu do przypominania dorobku ludzi, bo przekreśliłmy blisko 50 lat razem z tamtym ustrojem. A mimo to wierzę, że ta pracownica przygotowana bibliografia zainspiruje np. studentów do opracowania wybranych problemów twórczości, może jakiś doktorant zabierze się za Morawskiego, gdy materiał ma podany na tacy, może Miasto zamówi u uznanego historyka literatury książkę o Morawskim, podobnie jak zamawia (albo zamawiało) książki historyczne. Może się doczekam...

Notatnik Gąsiora

Znany w Gorzowie - i nie tylko - plastyk, Jerzy Gąsior jest także autorem wierszy, które podpisuje krótko: Gąsior. Właśnie ukazał się ósmy z tytułem „Bliżej”. Wszystkie mają jednakową szatę graficzną: wydłużony format, szarą okładkę tylko z tytułem i pseudonimem autora, bez żadnych ozdób, przeważnie około 100 stron, a na każdej stronie jeden wiersz. Nie ma żad-

nym rozdziałów, autor nie układa swoich wierszy według wymyślnego planu, lecz po prostu prezentuje jeden za drugim. Tematy ich są różne, zależą od codziennych zajęć, pory roku, miejsca pobytu autora, zdarzeń zewnętrznych, nawet polityki. Są jak notatki zapisywane z dnia na dzień. Przyznaję: przy pierwszych tomikach zarzucałam Gąsiorowi bałagan tematyczny, chciałam, aby świadomie komponował tomik. A on nie, on pisze pamiętnik liryczny. I już się zgadzam, już nawet jestem ciekawa, w jaki świat autor przeniesie mnie w następnym wierszu.

W ostatnim tomie „Bliżej” najwięcej jest wierszy zrodzonych w Santoku, gdzie Jerzy Gąsior ma zabytkową wieżę, a w niej pracownię i kolekcję swoich niezwykłych prac plastycznych tworzonych z odpadów drewna i innych resztek, które akurat pod ręką. Ale nie te prace (rzeźby) są tematem utworów, a przede wszystkim oglądana z wysoka santocka przyroda.

Jerzy Gąsior jest także znanym cyklistą, od kilku lat przemierza świat na rowerze. Po duchowe przeżycia pojechał na szlak św. Jakuba aż do Santiago de Compostela, ale w tomiku znalazły się tylko cztery wiersze tą wyprawą inspirowane. Są trzy z Drohobycza związane z osobą Brunona Schulza, jeden z Rumunii. W sumie tylko osiem śladów zagranicznych peregrynacji. Wszystkie inne wiersze powstały z polskich pejzaży i z przemyśleń autora, który skończył 73 lata i uważa siebie za starego. Coraz częściej spogląda do tego lepszego ze światów, coraz częściej zwraca się do Boga z podziękowaniem za ciekawe życie, z pytaniem, co dalej, a także z tym najważniejszym, które dominowało w poprzednich tomach: dlaczego wokół jest tyle zła i nieszczęść, dlaczego ludzie sobie sami wyrządzają tyle krzywd i dlaczego pojedynczy człowiek nie ma żadnego na to wpływu. Smutne to konstatacje, ale taki jest ton ósmego notatnika Gąsiora. Nic na to nie poradzę.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Więcej o tych i innych książkach związanych z Gorzowem i naszym regionem w zakładce „Czytaj ze mną” na stronie www.echogorzowa.pl. Tam także informacje, gdzie można daną książkę nabyć lub obejrzeć.

Niedziela bez wycieczki jest bez sensu

Pada, śnieżyca, skwar, wieje - żadna taka przyczyna nie jest w stanie zatrzymać łazików z Klubu Turystyki Pieszej „Nasza Chata”.

Chodzą okrągły rok i właśnie w minionym roku poszli po raz tysięczny i chodzą dalej.

- Rodzina już się przyzwyczaiła, że uroczyste obiady jada się w soboty - mówią członkowie klubu, a właściwie członkinie, bo większość uczestniczek niedzielnych wycieczek po podgorzowskich lasach to kobiety.

Koleżanka mi powiedziała

O tym, że klub działa i dzieją się takie wycieczki **Danucie Szeligowskiej**, która ma 9 tys. km na liczniku, powiedziała koleżanka. - Postanowiłam zobaczyć, jak tam jest. A ponieważ wcześniej sama się wyprawałam na podgorzowskie łąki, to już miałam jakąś wprawę. I 22 marca 1995 roku poszłam po trasie ze Starego Polichna do Skwierzyny i tak mi zostało, że chodzę - mówi. I opowiada, jak na pierwszą wycieczkę wybrała się nie z plecakiem, a ... reklamówką, - No i tak całą drogę sobie tą reklamówką machałam. Ale na następną miałam już plecak - mówi. Jest już na emeryturze, ale energii ma za kilka osób. Poza tym, że chodzi na rajdy, to jest jeszcze klubową DJ-ką, bo „Nasza Chata” to także spotkania w siedzibie, czyli w Klubie U Szeffa. To uroczyste opłatki, imprezy okolicznościowe, zabawy sylwestrowe. To cały sposób życia, jaki wytworzył się w trakcie tych bli-



for. Archiwum

Piechurzy z „Naszej Chaty” na jednej z wielu wycieczek

sko 20 lat wspólnego wędrowania.

Znaczna większość klubowiczów o „Chacie” dowiedziała się w podobny sposób. Albo przeczytali w gazecie, albo usłyszeli od znajomych. - Przeczytałam w gazecie. Akurat był reklamowany wyjazd nad morze, taki jednodniowy wypad. Pomyślałam sobie, dlaczego nie. No i jak przyszedłam na zbiórkę, to nikogo nie znałam, ale mnie przyjęli do siebie, choć mnie testowali na tym wyjeździe - opowiada **Elżbieta Puchaciewicz**, która na co dzień pracuje w jednej z państwowych instytucji, a z Chatą chodzi od 2000 roku.

Także Krystyna Leszczyńska o klubie usłyszała od koleżanki. - Jeszcze wtedy pracowałam, byłam pielęgniarką, więc nie zawsze mogłam iść, ale od razu mnie się spodobało - mówi.

Także liderka, jeśli chodzi o zaliczone wycieczki, **Mirosława Jędruszczak-Pezda** do klubu trafiła dzięki słowu koleżanek. I też została. - Zresztą, jak już ktoś załapie bakcyła, to trudno mu w domu usiedzieć - mówią klubowicze.

Żeby sadłem nie obrastać

Tak z reguły na pytanie, dlaczego chodzi na wycieczki, odpowiada mecenas **Stanisław Żytkowski**, który jest w „Chacie” niemal od początku. Prawda jest taka, że musiał zacząć aktywniej żyć, bo przeszedł operację wszczepienia rozrusznika serca i trzeba było zmienić tryb życia.

Jak opowiadają stali bywalcy, wycieczka ze Stasiem, bo tak się o szacownym mecenasie mówi, jest zawsze pewną niewiadomą. Bo przewodnik uwielbia modyfikować trasy i wybiera bezdroża. - Nazywa się to łażeniem po chaszczach, bo wycieczka bez chodzenia po krzakach wycieczką straconą - śmieją się klubowicze. Ale przyznają, że czasami takie wyprawy po bezdrożach mogą być męczące.

Tylko lenie siedzą w domu

Tak żartobliwie i dosadnie określa **Krystyna Leszczyńska** tych, którzy przedkładają domowe siedzenie nad uroki szwendania się po lasach. Ale na poważnie mówi, że niedzielne wycieczki to radość spotykania się w grupie, zdrowe spędzanie czasu, poznawanie uroku lasów. - Ale to też coś więcej, niż tylko niedzielna wycieczka. To cały styl życia. To też wspólne wycieczki po kraju, to spotkania na klubowych imprezach, na zabawach, opłatkach i przy innych okazjach. Bo my spotykamy się i poza klubowymi imprezami. Bo my się zwyczajnie lubimy i lubimy swoje towarzystwo - mówi Mi-

rosława Jędruszczak-Pezda, która znana jest z artystycznych umiejętności oraz doskonałych nalewek.

Podróżowania po kraju

Od kilku lat „Chata” jeździ także na dalsze wyprawy, na kilkudniowe wypadki do Szczecina, Dolny Śląsk lub też na Wschodnią Ścianę Polski. Od lat też zalicza trzydniowe pożegnania jesieni w Bledzewie. - I też robimy to po minimalnych kosztach, bo przecież średnio zamożne z nas towarzystwo - mówią klubowicze.

Każdy z takich wyjazdów to efekt pracy kilku osób, które podejmują się trudów organizacji, bywa też, że ktoś pełni funkcję przewodnika. Zawsze jest czas na zwiedzanie, ale i na dobrą zabawę też.

W tysięczną trasę

Tysięczna trasa wiodła z Nierzymia przez Zdroisk do Santoczna. Był niemiłosierny upał, ale turyści dali radę, choć trochę pomstowali na przewodnika, którym tym razem był **Marcin Wasilewski**, że niemal ich zamordował. W Santocznie czekała na nich smaczna zupa gulaszowa w sprawdzonym barze u pani Ani oraz okolicznościowy podarunek, długopis ze stosownym napisem. - No to następnych tysiąca - życzyli sobie wszyscy i żałowali mocno, że z nimi nie było prezes klubu **Małgorzaty Szymczak**, ale z przyczyn zdrowotnych musiała wówczas siedzieć w domu.

- No to do zobaczenia w niedzielę - kończyli swoją tysięczną wycieczkę klubowicze. I wiadomo, że spora ich grupa jak zwykle wyruszy w plener spod pomnika Mickiewicza, skąd o 9.00 zabierze ich pan Michał, który od lat wozi klub do miejsca początku niedzielnej łążęgi. Bez względu na porę roku i pogodę.

RENATA OCHWAT

Turystyka jest tym, co lubię

Szlak daje wolność. W lesie albo w górach myśli się prostują, spotyka się fajnych ludzi. Poznaje się nowe zakątki.

Turystykę uprawiam, o niej czytam i piszę. I zapraszam wszystkich tak do chodzenia, jak do pisania i dzielenia się swymi drogami.

Swoją przygodę z turystyką zaczęłam wiele lat temu. W szkole średniej zaczęłam chodzić na rajdy Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. I były to wycieczki po bliższej i dalszej okolicy. Weekendowe wypadki, które szybko weszły mi w krew. Zdobyć wówczas przyzwyczajone buty, czy plecak, to było wyzwanie nie lada. A jednak się udawało.

To wówczas poznałam Międzyrzecki Rejon Umocniony i to tak dobrze, że po jakimś czasie zaczęłam tam prowadzić znajomych. To było moje miejsce magiczne. Po latach do miejsc magicznych zaliczyłam także Twierdzę w Kostrzynie nad Odrą i też często prowadzę tam znajomych. Bo rok bez wizyty w Twierdzy uważam za stracony.

Kiedy trafiłam na studia, niemal natychmiast złapałam kontakt z Klubem Turystycznym Mat-Fiz-Chemu, bo tak się nazywał klub prowadzony przez studentów i pracowników naukowych z wydziałów matematyki, fizyki i chemii. Przedziwne to było towarzystwo. Ludzie z całego Uniwersytetu Adama Mickiewicza, którym chciało się na dwa dni jechać w Karkonosze czy Tatry. Płataliśmy się też po Wielkopolsce.

Potem już sama się wyprawałam na różne szlaki. Najchętniej do Zakopanego, jako bazy wypadowej w Tatrach. I tam zresztą najchętniej wracam.

Potem nastąpił dość długi antrak w czynnym uprawianiu turystyki, ale i tak się wyrzynałam, gdzie tylko mogłam. Od pewnego czasu wróciłam na szlak i jestem na nim stale.

Jeżdżę na wycieczki po zagadkowych i ciekawych miejscach w regionie, chodzę z Klubem Nasza Chata, sama wyznaczam szlaki po naszym mieście. Takie inne, niekoniecznie opisane w przewodnikach.

Okazuje się, że takich jak ja, co lubią zarówno chodzić, jak potem coś o tym poczytać, jest więcej. Rusza nasza specjalna strona - Na szlaku. Jest to miejsce dla wszystkich, którzy zechcą się pochwalić tym, gdzie gorzowianie byli lub bywają. Swoją drogę, ulubioną lub świeżo poznana trasę opisać może



for. Maciej Łukasiewicz

To ja, w Tatrach w czerwcu 2007 roku. Prawda, że trudno w to uwierzyć, ale był czerwiec, a ja szłam z Zakopanego do Doliny Pięciu Stawów Gąsienicowych. Do Polskich Stawów się już nie dało. W górach była wówczas prawdziwa zima.

każdy. Razem stwórzmy mapę gorzowskiej turystyki. Tej bliskiej - o rzut kamieniem, ale i tej dalekiej, egzotycznej. To nic trudnego.

Zapaleni turyści potrafią pięknie mówić o swoich drogach, czemuż by więc nie mogli usiąść do komputera i ich opisać. Okrasić relację zdjęciami i przysłać do naszej redakcji. A jeśli ktoś nie lubi pisać, lub też się tego obawia, znajdziemy i na to sposób. Zawsze można się z nami umówić, my posłuchamy, a potem spisujemy opowieść i ślad będzie.

Na początek w turystycznej zakładce znajdują się wszystkie moje turystyczne kawałki, ale ufam i głęboko w to wierzę, że bardzo szybko znajdą się też tu teksty innych gorzowian, którzy będą się dzielić swoimi skrawkami turystycznego świata. I nie ma znaczenia, że ktoś już daną drogą szedł wcześniej. Z wędrowaniem jest tak, że każdy nawet na szlaku, który przeszedł kilka razy, za każdym następnym zauważy coś nowego, coś ciekawego, coś, co być może inny łązik zechce zobaczyć na własne oczy.

Czekamy więc na teksty o wycieczkach pieszych, samochodowych, wędkarskich czy jakichkolwiek. Warunek jest jeden. Piszą gorzowianie o drogach, które sami przeszli, przejechali. Bo tylko takie są godne polecenia, bo tylko poty wylany przy ich pokonywaniu jest autentyczny i warty utrwalenia.

Na szlaki więc i do piór.

RENATA OCHWAT

historia

Klub Turystyki Pieszej „Nasza Chata” powstał 17 stycznia 1981 r. i działa przy Klubie „U Szeffa” Spółdzielni Mieszkaniowej „Staszica” w Gorzowie Wlkp. Początki klubu sięgają jednak roku 1979, kiedy to w Klubie „U Szeffa” zaczynają działać różne sekcje. Jedną z nich jest sekcja turystyczna, uczestnicząca w życiu turystycznym osiedla i miasta. Były to przede wszystkim rajdy organizowane przez działający przy Klubie „U Szeffa” Speleoklub „Gawra”, jak również imprezy organizowane przez PTTK. 17 stycznia 1981 r. oficjalnie powołano do życia klub „Nasza Chata”. Pierwszym prezesem klubu zostaje Małgorzata Nowakowska. Klub uczestniczył w rajdach organizowanych przez PTTK, był współorganizatorem Rajdu „Szlakiem Stalowych Kopuł” oraz organizował Rajd „Nietoperzy” i Rajd „Miejscami Pamięci Narodowej”. Po latach działalności liczba członków klubu co roku zmniejsza się i w roku 1990 w związku z brakiem zainteresowania turystyką klub zawiesił działalność. Działalność reaktywowano wiosną 1994 roku, ale już jako samodzielny klub. Od tego czasu działalność turystyczna „Naszej Chaty” rozwija się bardzo szybko i wciąż integruje coraz większe rzesze miłośników pieszych wędrówek. W szczególnym momencie klub liczy 188 osób. Terenem działania jest przede wszystkim region gorzowski, ale również tereny sąsiednich województw oraz ciekawe miejsca i imprezy turystyczne w całej Polsce. Klub jest członkiem Polskiej Federacji Popularyzacji Turystyki z siedzibą w Szczecinie, w ramach której jesteśmy członkiem IVV (Internationaler Volkssportverband), międzynarodowej organizacji zrzeszającej turystów i kluby turystyczne z całego świata. Klub ma swój hymn oraz logo. Jest prowadzona kronika wycieczek i kronika wycinków prasowych. W 1999 r. na temat działalności KTP „Nasza Chata” została napisana i obroniona przez studentkę gorzowskiego AWF-u praca magisterska. Obecnie klub liczy 45 członków.

Stefana Piosika wyprawa na antypody

Stefan Piosik, gorzowski przedsiębiorca oraz podróżnik i fotograf, zwiedził już niemal wszystkie kontynenty. Pokłosem tych wypraw są albumy i wystawy fotograficzne, na których prezentuje poszczególne miejsca, ludzi i krajobrazy bez żadnego retuszu i artystycznych wizji, pokazuje je takimi jakie są.

Tu opisuje swą podróż, której plonem była wystawa „Australia i Oceania” zaprezentowana w ubiegłym roku w Małej Galerii Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego.

W Australii i Oceanii

Wiele słyszałem o Australii jako kontynencie, o jego przyrodzie i ludziach, o obszarze, który jest tylko trochę mniejszy od Europy. To wytworzyło we mnie ciekawość i wielką chęć wyjazdu tam i zobaczenia tego świata na własne oczy. Podróż, o której zawsze marzyłem, odkładałem kilka lat, bo przecież odległość od Australii jest ogromna - np. wyspy archipelagu Vanuatu obok Nowej Kaledonii, gdzie byliśmy 12 dni, dzieli od Paryża 16,7 tys. km - więc i czasu trzeba poświęcić więcej.

Wreszcie, gdy u nas królowała szara zima, odlecieliśmy samolotem z Warszawy (z międzylądowaniem w Dubaju) do Sydney. Na miejscu byliśmy po 30 godzinach. Ten wyjazd zaplanowałem dwójako: na wodzie i na lądzie. Najpierw przez 12 dni pływaliśmy po Oceanie Spokojnym, a potem wróciliśmy na kontynent, by przez dziesięć dni camperami (autami z możliwością skromnego przenocowania) poznać życie Australii i jej mieszkańców.

Na lądzie

Objazd kontynentu zaczęliśmy od największego miasta Australii, którego aglomeracja liczy 4,5 mln mieszkańców, podczas gdy cała ludność kraju - 22 mln. To Sydney. Położone między Pacyfikiem a Górami Błękitnymi powstało w 1788 r. Jego część stanowi Port Jackson, największa naturalna zatoka (55 km kw.), a także liczne plaże (około 100), w tym słynna Bondi Beach. Nadmorskie promenady kuszą plażami, które bywają zabezpieczone siatkami chroniącymi przed rekinami, jak np. na pięknej plaży w Manly.

Kultowym miejscem, do którego zdążają turyści z całego świata, jest Opera House ulokowana w pobliżu Harbour Bridge - jednego z największych na świecie mostów łukowych (rozpiętość 496 m) zbudowanego w 1932 r. Wokół opery, która z założenia spełnia funkcję kulturową, tętni życie turystyczne. Robi to wrażenie na przybyszach zarówno w dzień, jak i w nocy, dzięki oświetleniu, które podkreśla nowa-



Dla turysty to folklor, za który płaci

torską bryłę wpisującą się w panoramę miasta. To wrażenie na zawsze pozostaje w pamięci i nie tylko podkreśla akcent stricte architektoniczny, ale buduje markę miasta, ściągając rzesze cudzoziemców z całego świata. Będąc w Sydney, nie można pominąć słynnego miejsca upamiętniającego australijskie siły zbrojne z I wojny światowej, czyli ANZAC War Memorial. Pomnik znajduje się w Hyde Park, dzielnicy biznesowej na wschodnich obrzeżach miasta.

Istotnym akcentem stolicy kontynentu jest katedra Najświętszej Marii Panny. To największy kościół Australii, wybudowany w stylu neogotyckim (od 1930 r. bazylika mniejsza), dwukrotnie odwiedzany przez papieża Jana Pawła II.

Sydney to jedno z tych miast świata, które mają swoją wieżę. Tower została otwarta w 1981 r. i mierzy 309 m wysokości. Jej oszkłona kopuła pozwala upajać się widokiem panoramy. Podobne miejsca widziałem m.in. w Toronto w Kanadzie, w New Yorku, Paryżu, Barcelonie, Berlinie i teraz w Sydney.

Po dwóch dniach spędzonych w Sydney camperami ruszyliśmy do Brisbane. Lewostronny ruch okazał się dla nas pierwszym szokiem. Trzeba się było do tego szybko przyzwyczaić. Na szczęście poszło nam doskonale, bo w ciągu 12 dni nie zaliczyliśmy nawet zadrapania na żadnym z pięciu samochodów. To niebywałe osiągnięcie, bo przecież nie tylko jechaliśmy autostradą, tylko jechaliśmy autostradą z miasta, ale też zjeżdżaliśmy z niej, parkowaliśmy, cofaliśmy, jeździliśmy przez lasy.

Jaskinie

Nasza trasa wiodła przez Góry Błękitne porośnięte w przeważającej części drzewami eukaliptusowymi, z których wydzielają się charakterystyczny delikatny olejek.

Właśnie opary olejku, przy częstych opadach i lekkich mgłach sprawiają wrażenie, że góry są błękitne. Stąd ich nazwa. To właśnie tu odkryto i objęto ochroną parku narodowego jaskinie. Noszą nazwę Jenolan Caves, jest ich około 300 i są najstarszymi otwartymi jaskiniami na świecie. Liczą ok. 340 mln lat. Wchodzi się do nich długimi na 6 km korytarzami wykutymi wewnątrz, dobrze oświetlonymi, dzięki czemu stanowią największą atrakcję turystyczną Australii. Oprowadzający wycieczki przewodnicy przekazują imponującą, niemal naukową wiedzę. Wysokość jaskiń sięga od kilku do kilkudziesięciu metrów. Ich wnętrza wypełniają formacje krasowe, takie jak: zwisające stalaktyty, heliktytowe nacieki o fantazyjnych formach drzewiastych czy też stalagnaty mające formy kolumn. Jeśli przyjąć, że 1 cm takiego nacieku odkłada się w ciągu stu lat, łatwo uświadomić sobie, że to dzieło natury kształtowało się przez miliony lat.

To doświadczenie wywarło na mnie wyjątkowe wrażenie i pozostawiło niebywałe wspomnienia. Skłoniło do refleksji nad niewyobrażalnie długim czasem, jaki minął w historii ludzkości i nad przemijaniem. My, Europejczycy, zwykliśmy wszystko odnosić do naszego gregoriańskiego kalendarza, a przecież jaskinie dowodzą, że coś było już dużo wcześniej i tworzyło się przez bardzo wiele lat. Takie zdarzenie człowieka z rzeczywistością musi wywołać przemyślenia. Oczywiście, nie tylko dotyczące życia. Ale, gdy chce się zgłębić naturę, wtedy budzi się świadomość, że jest ona nierozdzielnie związana z czasem.

Winnice

Opuściliśmy Góry Błękitne. Przed nami otwarte przestrzenie. W terenie pagórkowatym, podobnym trochę do krajobrazu województwa lu-



Stefan Piosik

buskiego, trochę do regionu bieszczadzkiego, spostrzegaliśmy olbrzymie tereny zamknięte ogrodzeniami, w których pasło się domowe bydło: krowy, owce, konie. Tych jest bardzo wiele, ale nigdy zaprzęgniętych do wozu, tylko zwykle używanych do jazdy wierzchem. W rejonie wschodnim nie widziałem pół uprawnych ze zbożami czy roślinami okopowymi, co było dla mnie sporym zaskoczeniem.

Na tych pagórkowatych stokach rozsiadły się winnice. Dzięki nim przez ostatnie lata australijskie wina stały się znaczącą konkurencją dla producentów z Europy. Ich powstanie stworzyło korzystniejsze warunki ekonomiczne dla farmerów i stało się ważnym elementem, który odkrywa Australię na zewnątrz w globalnym handlu. Także napoje wytwarzane tam z owoców są smakowite. Szczególnie, gdy nastaje piękny wieczór w temperaturze 28 stopni z perspektywą wolnego czasu.

Góry, morze i plaże

W Górach Błękitnych natknęliśmy się na wodospady, uskoki skalne, wypiętrzenia. Na terenie stanu Nowa Południowa Walia, około 100 km od Sydney, znajduje się formacja skalna Trzy Siostry, która dominuje nad resztą przestrzeni. Położona u wlotu do doliny Jamison Valley, składa się z trzech skał: Me-ehni, Wimlah i Gunnedoo - każda ma ponad 900 m n.p.m. Powstały w wyniku erozji piaskowca.(...)

Korzystając z okazji, popłynęliśmy łodzią na morze. Łowiliśmy kolorowe ryby rafy koralowej. Jeden z kolegów miał szczęście, ponieważ trafił na słynnego błękitnego marlina. Duże wrażenie zrobiła na nas latarnia morska, gdy uświadomiliśmy sobie, że znajduje się w najbardziej wysuniętym na wschód punkcie kontynentu australijskiego. Z kolei słynne Gold Coast (czyli Złote Wybrzeże)

i miejscowość o tej nazwie jest naszpikowana hotelami, pensjonatami i apartamentowcami wynajmowanymi turystom z różnych krajów świata. Co ciekawe, tam - na specjalnie usypanej wyspie - swoją willę ma najbogatszy człowiek świata Bill Gates.

Ludzie

Na kontynencie australijskim mieszka 22,5 mln ludzi, z tego 100 tys. Aborygenów, którzy mają specyficzny sposób myślenia. Według nich człowiek powinien dbać tylko o aktualny dzień i to, co jest mu konieczne do życia. Jeśli w Australii panują temperatury między 25 a 40 stopni, to wystarczy, że zbuduje sobie dom z liści i gałęzi, i nie rozumie, po co białym w miastach tak wysokie wieżowce. Nie rozumie też, po co robią zapasy. Aborygeni uważają, że wystarczy zjeść to, czego potrzebują dziś, a jutro znów upolują lub zdobędą stawę. Wiedzą, że natura daje tyle, by wystarczyło bez konieczności robienia zapasów. Nie martwią się o jutro, bo przecież nie zabraknie i ryb, i mały, i ptaków, a panujące temperatury nie wymuszają na nich jedzenia tłustych posiłków, bowiem nie tracą energii. Stąd świat białych ludzi i starych mieszkańców Australii to dwa odmienne światy i dwie zupełnie różne filozofie. Miłośnicy natury żyją jak zagubione istoty, bez potrzeb duchowych wyższego rzędu. Ograniczają się do metody: żyj tak, aby przetrwać. Jednak, choć związani ściśle z naturą i korzystający z tego, co ona wytwarza, czynią ją korzystając z cywilizacji. Ich czysty związek z przyrodą nieco się zmienia i nie-rzadkim obrazkiem jest widok Coca Coli, która dociera nawet do najodleglejszych wysp Oceanii.

W czasie pobytu na wyspach tubylcy prezentowali nam swoją kulturę w czasie specjalnych pokazów. Zetknąłem się z tym, że muzykę wydobywają np. z palmowych kijów napęcznionych wodą. Wtedy ilość wody decyduje o jakości i wysokości dźwięku, który powstaje poprzez uderzanie w otwór ręką. Do muzyki używa się też butelek od czasu, gdy zostały wynalezione. Przy takich instrumentach odbywają się śpiewy i tańce. Prawdopodobnie spontanicznie. Ci wolni ludzie tańczą i śpiewają, gdy tego chcą.

Zobaczyliśmy też, że do obrony służył im zaostrzony kij - nie mieli metalu, bo nie znali technologii jego wytwa-

rzania - a sznurek robili z włókien rośliny. Z pewnością jakieś formy prostego rzemiosła są, ale niewidoczne. Nie istnieją u nich takie pojęcia, jak „wytworzyć” czy „sprzedać”. Jeśli coś wypłatają, robią to dla siebie, nie na handel. Stąd brakuje ich rodzimej wytwórczości, a na targowych stoiskach królują wyroby chińskie. Sami co najwyżej zajmują się ozdobami z palmowych liści, muszli czy koralików. Ludziom, którzy wszystko sprządzają do przetrwania z dnia na dzień, bardzo trudno znaleźć się w warunkach naszej cywilizacji, bo choć nadaje ona człowiekowi prawa, to nakłada na niego również obowiązki. Tu podział obowiązków istnieje w rodzinie. Kobieta zajmuje się gotowaniem i wychowaniem dzieci, a mężczyzna - myślistwem i rybołówstwem. Wykorzystuje specjalne kosze do łapania ptaków i siatki - do owadów oraz dzidy bez metalowego ostrza. Kuchnia wyspiarska jest głównie wegetariańska, z małą ilością zwierzęcego białka. Owoce dostarcza natura w takim czasie, w jakim je rodzi. Nie ma tam zimy, więc jeden gatunek drzewa kończy owocowanie, a drugi zaczyna. Magazynem jest las. Nikt nie zbiera owoców na zapas. Człowiek wraca, gdy ich potrzebuje.

Australia i Wyspy Nowej Kaledonii to cywilizacja ze zorganizowaną opieką medyczną. Na wyspach nie widziałem jednak ani ośrodków zdrowia, ani innych placówek medycznych. W razie potrzeby mieszkańcy wykorzystują naturalną medycynę. Np. czerwony liść pocierany i ugniatany wytwarza substancję wykorzystywaną do leczenia skaleczeń. Inne zioła służą np. do likwidacji bólu brzucha. Panuje tam prosta medycyna oparta na doświadczeniu, tysiącletniej praktyce i znajomości przyrody. Na wyspach ludzie wciąż żyją w sposób naturalny, ale też coraz częściej z turystów, bo to oni dostarczają pieniędzy za prezentowanie im tradycji. Dla turysty to folklor, za który płaci. Coraz częściej prosty świat i jego zwyczaje odchodzą do historii. Nawet na łowienie ryb dowożono nas łodzią motorową, a nie zwykłą dłubanką, jak było do niedawna. Jak będzie wyglądało życie wyspiarzy w przyszłości? Czas pokaże. Bez wątpienia zmiany cywilizacyjne są już widoczne na co dzień.

STEFAN PIOSIK

Auto-Bis zieloną wyspą w Gorzowie

Gorzowski salon Auto-Bis to nie tylko miejsce, w którym prowadzi się sprzedaż samochodów. Od lat w salonie przy Olimpijskiej istnieje także galeria, w której eksponowane są prace, głównie gorzowskich artystów.

Auto-Bis od początku związał się ze Skodą, nie przewidując zapewne, że samochody tej marki staną się bardzo szybko liderami polskiego rynku. Od lat Octavia i Fabia zajmują czołowe miejsca w sprzedaży. W tym roku również Octavia jest niekwestionowanym liderem sprzedaży, a Fabia liderem swego segmentu. Co ciekawe, w bardzo wymagającym segmencie premium drugie miejsce zajmuje Superb, którego Polacy coraz bardziej doceniają. Nie różnimy się zbyt od reszty świata, na którym tylko we wrześniu br. sprzedano 96 tys. czeskich samochodów. Skody są najchętniej kupowanymi zagranicznymi autami na rynku niemieckim, a cała Unia zakupiła w pierwszych dziewięciu miesiącach tego roku niemal 41 tys. tych samochodów.

Mimo że od kilku lat obserwujemy zjawiska kryzysowe w branży samochodowej gorzowski, dealer Skody optymistycznie spogląda w przyszłość.

- Skończyły się wybory i wracamy do normalności. Najważniejsze, że widać coraz wyraźniejsze symptomy ożywienia gospodarczego, co powinno zaowocować



Tadeusz Sienkiewicz, prezes Auto-Bis

wzrostem popytu na samochody - mówi mgr. inż. Tadeusz Sienkiewicz prezes Auto-Bis.

Co ciekawe, salon i serwis odwiedzają posiadacze aut różnych marek. Zwykle podczas pierwszej wizyty zapada decyzja, że jednak warto auto zostawić tutaj zamiast szukać taniego warsztatu bez żadnej autoryzacji. Wie-

lu klientów też pamięta, że według wyliczeń ekspertów samochód serwisowany podczas odsprzedaży jest wart około 20% więcej niż odpowiednik bez udokumentowanej historii.

- Nie jest prawdą, że autoryzowane serwisy są drogie. U nas nie liczy się pracy za roboczogodzinę. Wiele operacji trwa kilkanaście lub kil-

kadziesiąt minut i klient płaci za te minuty. Jeżeli na przykład godzina kosztuje 150 zł, a wymiana jakiegoś elementu pół godziny, to koszt wynosi 75 zł - tłumaczy szef firmy. Opowiada również o klientach, którzy szukali u niego ratunku po źle przeprowadzonej naprawie w warsztacie, który miał być tani i fachowy. Okazało się,

że gdyby od razu przyjechali do firmy, zaoszczędziliby pokątną sumę i masę nerwów. Często mówi się o wysokich cenach oryginalnych części. Tymczasem części te w większości przypadków nie są aż tak drogie, a do tego firma oferuje znacznie tańsze części opcjonalne akceptowane przez producenta samochodu.

Auto-Bis chętnie współpracuje i zaopatruje w części warsztaty blacharsko-lakiernicze. Firma dowozi zamówiony towar w różne miejsca województwa.

Autoryzowany serwis Skody naprawia nie tylko samochody tej marki i innych z grupy VW. Naprawiane są auta wszystkich marek, podobnie jak wszystkie auta mogą zaopatrzyć się u pracowników Auto-Bis w Karty Ratownicze. Warto przypomnieć, że właśnie tutaj rozpoczęło się po raz pierwszy w Gorzowie rozprowadzanie tych kart.

- Mamy ciekawe i tanie pakiety serwisowe, istnieje możliwość niedrogiego wydłużenia gwarancji. Staramy się zapewnić klientom pełną gamę usług finansowych. Oferujemy ubezpieczenia, kredyty i leasingi.

Jako jedni z niewielu zapewniamy leasingowane auta na gorzowskich tablicach rejestracyjnych. Bardzo ciekawy jest kredyt niskich rat. Klient płaci raty za 70 proc. wartości pojazdu. Po czterech latach wspólnie wyceniamy samochód i klient wyjeżdża nowym, nadal płacąc niską ratę - mówi prezes.

Trwa rozbudowa i zmiana wystroju firmy. Chodzi o ciągłe podnoszenie standardów obsługi, mimo że lider rankingów Auto Świata mógłby spocząć na laurach. Zapewne najnowsza Fabia prezentowana będzie jeszcze w dotychczasowym wystroju salonu, ale zapowiadany nowy Superb prezentowany będzie już w nowym wnętrzu. Tadeusz Sienkiewicz chciałby, aby każde miejsce w Gorzowie było bardziej efektywne niż gdziekolwiek indziej. Prezentując salon, mówi o rankingu „Polityki” dotyczącego zadowolenia mieszkańców różnych miast. Gorzów sklasyfikowano w połowie pierwszej setki, podczas gdy Zieloną Górę w granicach pierwszej dwudziestki. - Chyba ankietery trafili na wyjątkowych mieszkańców - stwierdza.

RYSZARD ROMANOWSKI

Bezpieczeństwo przede wszystkim

Niezależna organizacja Euro NCAP od lat prowadzi testy, nie tylko zderzeniowe, samochodów. Wynikiem są gwiazdki, których maksymalnie można zebrać tylko pięć.

Samochody oceniane są w czterech kategoriach: ochrony dorosłego, ochrony dziecka, systemów bezpieczeństwa i ochrony pieszego. Przez lata konstrukcje pojazdów przeszły ogromnie długą drogę. Zaczęło się od pasów bezpieczeństwa wprowadzonych do masowej produkcji przez Volvo. Następnie pojawiły się pochłaniające energię strefy zgniotu, wzmocnienia drzwi i wiele innych rozwiązań. Jeszcze niedawno nowością były poduszki powietrzne, obecnie normalnością są tzw. kurtyny, do walki o bezpieczeństwo na wielką skalę wkroczyła elektronika. Zmiana sposobu projektowania samochodów, technologia materiałowa i układy elektroniczne spowodowały, że poziom bezpieczeństwa osiągnął jeszcze od niedawna wyłącznie przez duże auta dostępny jest również najmniejszym. Pierwszym szokiem dla tradycyjnych był test zderzeniowy małego Smartha, w którym pozornie nie-

wiele chroni pasażerów. Zmyślna konstrukcja tego autka powoduje, że podczas zderzenia silnik, układ napędowy i zawieszenia wsuwają się pod przedział pasażerski, co zapewnia większy poziom bezpieczeństwa niż w wielu znacznie większych samochodach. Minęło kilka lat i dla małego Fiata 500 niemal zabrakło gwiazdek. Testy, mimo wielu dyskusji, stały się w międzyczasie doskonałym chwytem marketingowym. Niektórzy twierdzą, że wiele modeli samochodów projektuje się wyraźnie pod europejskie testy, ignorując niektóre z przyjętych np. na rynku USA prób, jak np. autostradowe zderzenia boczne przy dużych prędkościach. W praktyce jednak Euro NCAP częściowo wymusiło ogromny postęp w dziedzinie bezpieczeństwa na drodze.

Niedawno testy zaliczył następca jednego z najpopularniejszych modeli polskiego rynku - Skoda Fabia. Ten niewielki samochód bez trudu zdobył w nich pięć

gwiazdek. Warto bliżej przyjrzeć się tej konstrukcji, która pod względem bezpieczeństwa nie ustępuje autom klas znacznie wyższych. Najnowsza Fabia posiada bardzo wytrzymałą konstrukcję z umiejętnie dobranych stopów uzupełnioną w doskonale opracowane strefy zgniotu. Samochód posiada aż sześć poduszek powietrznych z kurtynami i oczywiście pięć trójpunktowych pasów bezpieczeństwa.

Pomyślano o bezpieczeństwie czynnym, wykorzystując bardzo zaawansowane systemy elektroniczne. W systemie stabilizacji toru jazdy działa układ elektronicznej blokady mechanizmu różnicowego, zwany XDS. Układ ten, podobnie jak blokada mechaniczna, czyli tzw. szpera, pomaga w pokonywaniu ostrych zakrętów. Działanie jest pozornie proste, bo polega na przyhamowaniu koła będącego wewnątrz zakrętu, aby dodać więcej momentu na koło zewnętrzne.

Układ również przydaje się na śliskiej nawierzchni. Dobrze skonfigurowane urządzenie elektroniczne doskonale zastępuje kosztowne rozwiązania mechaniczne stosowane dotąd w drogich samochodach sportowych.

Kolejną niespodzianką Fabii jest funkcja Multi-Collision Brake, która automatycznie rozpoznaje kolizję i uruchamia system hamulcowy nawet wtedy, gdy kierowca nie naciska pedału. Dzięki temu zapobiega kolejnej kolizji. System może nawet uratować życie podczas coraz powszechniejszych kolizji na autostradach lub ruchliwych ulicach miast.

Opcjonalnie samochód może być wyposażony w tzw. Front Assistant. Jest to system dokonujący pomiaru od poprzedzającego pojazdu i po wykryciu zbyt małej, niebezpiecznej odległości ostrzegający kierowcę a w razie braku reakcji rozpoczynający automatyczne hamowanie.

RYSZARD ROMANOWSKI

Karta ratownicza pojazdu

Drobiazg, który może uratować zdrowie, a nawet życie.

Kiedy ratuje się poszkodowanych w wypadku, liczy się każda minuta, a nawet sekunda. Po drogach jeżdżą jednak setki modeli samochodów i każdy jest inaczej skonstruowany. Karoserie pojazdów bywają wzmocnione w różnych miejscach. Jeśli nożyce straży pożarnej natkną się na takie wzmocnienie - pękają. Tak samo znalezienie i odłączanie akumulatorów też bywa trudne, tym bardziej, że w części aut osobowych znajduje się w bagażniku. Skąd ratownik ma o tym wiedzieć? Aby przyspieszyć wydobywanie pasażerów z rozbitego pojazdu opracowano europejski system „Karta ratownicza pojazdu”.

Karta ratownicza to zstandaryzowana informacja, która na kartce formatu A4 przedstawia schemat pojazdu z zaznaczonymi najważniejszymi dla służb ratowniczych elementami umieszczenia wzmocnień karoserii, rozmieszczenia

poduszek gazowych (airbagów) czy też gazowych napięciaczy pasów. Karta ratownicza - zwykła kartka papieru wożona w samochodzie - pozwala często skrócić czas akcji ratowniczej o 30 procent, o 6-9 minut, które często decydują o powodzeniu działań. Ta kartka papieru może uratować życie.

Po kartę ratowniczą i naklejkę najlepiej zgłosić się do dealera swojej marki. Gdyby okazało się, że jednak jej nie ma, to wtedy warto poszukać na stronie internetowej danej marki. O ile dla sprzedawanych aktualnie modeli wielu marek i często poprzednich generacji karty są dostępne od ręki, to dla starszych aut trzeba się o nie upominać, aby importer marki uzyskał karty od producenta. Wzory dla wielu znajdują się w serwisie Kartyratownicze.pl

Kartę umieszcza się za osłoną przeciwsłoneczną kierowcy.

źródło: BANKKIEROWCY.PL

r e k l a m a

SIMPLY CLEVER

ŠKODA



OSZCZĘDNE ŠKODY Z LPG



W zależności od modelu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym: od 4,4 do 5,9 l/100 km, emisja CO₂ od 103 do 137 g/km.
Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie www.skoda-auto.pl



**Mniej na paliwo,
więcej na wspólne przyjemności**

Szukasz oszczędności? Zrób to sprytnie. Zapamiętaj, że to ŠKODY mają bezpieczną i wydajną instalację gazową zaprojektowaną specjalnie dla danego modelu i objętą dwuletnią gwarancją. Chcesz wydawać mniej na paliwo, a więcej na wspólne przyjemności? Dowiedz się więcej odwiedzając Salon:

Auto - Bis Sp. z o.o.
ul. Olimpijska 46
66-400 Gorzów Wlkp.
Tel. +48 95 723 86 60
www.auto-bis.pl

r e k l a m a

DOM TOWAROWY METALPLAST

Ponad 24000 produktów

- NARZĘDZIA I ELEKTRONARZĘDZIA
- OKUCIA I AKCESORIA MEBLOWE
- SYSTEMY DO SZAF I DRZWI PRZESUWNYCH
- ZAMKI, KLAMKI, UCHWYTY
- SAMOZAMYKACZE, SKRZYNKI NA LISTY
- ZAWIASY DRZWIOWE I MEBLOWE
- OKUCIA CIĘŻKIE
- OKUCIA BRAMOWE I ELEMENTY OGRODZENIOWE
- ELEMENTY ZŁĄCZNE I ART. METALOWE
- AUTOMATYKA DO BRAM

Zapraszamy na zakupy!

66-400 GORZÓW WLKP., UL. GARBARY 9, TEL. 95 78 33 151 FAX 95 720 53 10 W. 24
WWW.METALPLASTGORZOW.PL, MARKET@METALPLASTGORZOW.PL
GODZINY OTWARCIA: 8⁰⁰-18⁰⁰; SOB. 9⁰⁰-14⁰⁰